JORDAN.

FANTAZJA DRAMATYCZNA.

JORDAN.

FANTAZJA DRAMATYCZNA.

PRZEZ

Antoniego Sowę.

(Edwarda Żeligowskiego)

Ja Sowa jestem, ja latam w ciemności;
Lecz, gdy dzień wzejdzie, ja schowam się w cienie,
Zostawię życie ptakom jasności,
I głos mój stłumię, aby Sowy pienie
Nie przerażało pienia jasnych ptaków,
Lepszych od Sowy, choć Sowy rodaków.

Nakładem Autora.

Wilno.

DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1847.

Pozwolono przedrukać pod warunkiem, aby po wydrukowaniu, złożone były w Komitecie Cenzury, exemplarze prawem przepisane. Wilno, d. 6. Maja 1847 roku.

Pełniący obowiązek Cenzora

J. Fok.

MOIM NAJUKOCHAŃSZYM RODZICOM

w hołdzie czci, wdzięczności
i miłości synowskiéj

poświęcam.

DO PIÉRWSZÉJ EDYCJI.

Ktokolwiek wyszedł po za swoję jednostkę, obudził żywy w sobie interes dla życia współludzi, patrzył na społeczeństwa jakby na wielkich swych braci, musi dostrzedz koniecznie, jaki ogromny niepokój w rysach fizjognomji i włonie dzisiejszych społeczności! Czy to hektyczna gorączka konającego starca? czy to życia nowego zjawiska?

Tak, nowego życia nadzieją, przeczuciem, rozdyma się pierś człowieczeństwa. Z końca do końca świata przebiega szmer— jak budzącego się przed rankiem wiosennym dźwięk ptastwa, jak ciche drżenie roślin witających słońce, jak ruch mgły niosącéj powitanie od ziemi niebu,

tak po piersi człowieczeństwa przebiega uroczyste drżenie witające pod wszystkiemi względy nową epokę życia.

Świat nasz dzisiejszy, mąż wielu wieków, oparty na konarach przeszłości, już nie szalony młodzieniec, już myślił dużo, dużo czuł i cierpiał i wątpił i rozpaczał; i dzisiaj w nowe pierś swą przyszłości oddając śluby, zda się z całą godnością pojmować wysokość sakramentu w chrzcie nowéj idei!

Dla usprawiedliwienia stanowiska moich wyobrażeń rzucę gwałtowny rzut oka na górujące zarysy z obrazu przeszłości, któréj obecna chwila i następne wieki są ciągłém wykończaniem arcydzieła wszechmocnéj ręki. Zaledwo, mówię, na kilka zarysów: bo jakże inaczéj byćby tu mogło?

Na zgliszczach cywilizacji starożytnych ludów, gdzie w mozolnéj robocie probują sił swoich; gdzie nakoniec przychodzą do najwyższego samowiedztwa

siły materjalnéj w potężnym i dążącyn do panowania nad całym światem Rzymie; gdzie Grecja rozwija i wykształca w swojéj poezji i pobratymczych sztukach najpiękniejsze, najsubtelniejsze zmysłowości odcienia; gdzie lud wybrany przychodzi do poznania Jehowy jedynego, który jest, był i będzie; na zgliszczach, mówię, téj żyżnéj cywilizacji rozrosło się Boskie ziarno nowéj ery chrześciańskiéj. Ludzkość odradza się w Boskiéj duchownéj szacie; z cudownym, nadludzkim prawie entuzjazmem idzie po szczeblach duchowego rozwoju: bo Bóg z nieba został bratem, i wskazał cel najwyższy ludzkości już nie piastowanie jedynie urzędów i służenia rzeczypospolitéj, jak w Rzymie, lecz cel podniesienia się do Boga. Dla zdobycia duchowego sztandaru leje się krew męczeńska, aż pod niebo rosną bohatérowie ducha; nie dla sławy, nie dla zaszczytów, lecz w duchowéj głębokiéj wiary pokorze.

Kościoł reprezentuje i pchnie na przód wszystkie elementa, wszystkie warunki rozwicia się społeczeństwa, wszystkiemu przodkuje. Lecz oto przy końcu średnich wieków siła jego pędowa ustaje, na miejscu któréj wybujały fanatyzm hamuje postęp. Ludzie postępu giną, jako heretycy, w więzieniach, w torturach inkwizycji. Łamie się harmonja ludów i Kościoła. Nie bez przyczyny rodzą się różne odstępstwa;—Reformacja! Postęp dalszy ludzkości nie ma już rękojmi.... Każda nowa idea staje się dlań niepokojącą, groźną, niebezpieczną. Teorje Galileusza, Kopernika, Descarta, wyklęte. Wielki mówca Bellarmin wznosi głos przestrachu, zwołuje inkwizycję — uradzają, ażeby przerwać wszelkie roztrząsanie hypotezy Kopernika (*). Lecz wiecz-

(*) O tymże samym Bellarminie mówi genjalny pisarz francuski: *Il avait aussi livré comme suspectes, les découvertes de quatre satellittes et cet instrument de magie le telescope qui menaçait de bouleverser les cieux.*

ny niepokój wzrostu i postępu, w łono ludzkości dłonią Boga zasiany, musiał ją pchnąć daléj. Swieccy biorą przewagę ducha nad duchowieństwem.

Cywilizacja francuska, francuska filozofja, język, honor, ton, od brzegów Sekwany na cały świat europejski panowanie rostaczają. Wszystkie życia warunki zda się rozwiązywać rozum francuski (*l'esprit*).

Francuski język, jak niegdyś kościelny, staje się językiem powszechnym nie tylko towarzyskim i dyplomatycznym, lecz zarazem organem nauki. Wiémy, iż *Leibnitz* piérwsze swe dzieła w języku francuskim drukował. Fryderyk Wielki nie uważa za dość godny język narodowy, po francusku pisze i dzieła swe ogłasza. Wszystko francuzieje. Przepisy konwenansów salonu, honoru, dobrego tonu (*bon genre*), przeważniéj, na nieszczęście działają na towarzystwa cywilizowane, niżeli dogmata religijne, niżeli

prawdy z katedr i ambon ogłaszane. Duch religijny słabieje. Dowcip francuski, lekki, szarpiąc zewnętrzną szatę Kościoła, podkopuje dogmata religijne. Indifferentyzm széroko rozwiewa po świecie. Nakoniec świat cywilizowany przestał wierzyć i w Pana Boga i we Francuzów. Francuzi sami zaparli się swojéj filozofji. Materjalna cywilizacja kończy się zupełném rozprzężeniem socjalném w rewolucji francuskiéj, lecz ogromne na przyszłość zostawuje skutki.

Niemcy daleko poważniéj biorą się do dzieła; wznoszą się na najwyższy szczebel wiedzy ludzkiéj. Świat się zdumiewa nad mocarzami intelligencji. Wszystkie tajniki piersi ludzkiéj zda się zdobędą; słowo w słowo wytłumaczą każdy dzień stworzenia; co mówię? każdą sekundę, każdy puls powtórzą. W zaślepieniu pychy intellektualnéj zdali się wedrzeć aż do najskrytszych tajni Stworzyciela; i wszystko podsłuchali, odga-

dli, wytłómaczyli. Jehowę odwiecznego przenieśli z nieba do swoich książek, do swoich traktatów i formuł. Lecz ciasno było Jehowie w formułach niemieckich; przeniósł się znowu Pan Wszechmocny na siedziby odwiecznych swych światów. Filozofja niemiecka, przebiegłszy najwyższe kriterium rozumu, utworzywszy najbardziéj mistrzowski skalpel dla wszystkich psychicznych operacij, rozwinąwszy najwyższą dialektykę, znalazła się dzisiaj znowu prawie na tym samym stopniu, czém była przed Kantem! Nie wzbiwszy się do organicznéj całości, rozpada się na cząsteczki.

Dwie główne idee: Heglowskiego Idealizmu i Realizmu Herberta pogodzić się z sobą nie dają. Jedna i druga wywołują upartych zwolenników. Lecz dziwna, wszystkie społeczności elementa ogromnie się rozdzierają na te dwie zasady: idealną i realną, i widzimy ciągłe ścieranie się tych dwóch pierwiast-

ków, których się dotąd nigdzie pogodzić nie udało. W polityce dwie zasady: realna i idealna czyli historyczna i oparta na prawie rozumu (*Vernunftrecht*); ci chcą zmiany, tamci przedłużenia obecnego stanu rzeczy.

Sztuka niezadowolona warunkami subjektiwno - idealnéj romantyczności, biorąc żywy udział w pulsach życia, dążności czasu, usiłuje stworzyć, że tak powiém, nowe ciało dla duszy piękności. Nauki tak nazwane ścisłe mniéj stykają się z duchem filozofji, sądząc, że sobie wystarczą. Religja i teologja rozpadły się z sobą i z filozofją. Filozofowie niemieccy najnówsi: Reiff, Frantz, Lotze, George etc., są tylko mniéj lub więcéj trafnemi szermierzami słowa; łatają oni systemata swoich poprzedników, nicują, przerabiają, lecz nic nie tworzą (*). Lecz byłoby rzeczą niesprawiedliwą chcieć

(*) Zob. *Das Grundprincip der Philosophie v. Hermann Ulrici.*

zaprzeczyć konieczněj wielkiéj zasługi wszystkim tym fazom, przez które ludzkość w swojém rozwiciu się postępowała; byłoby to naznaczyć Opatrzności, jakim sposobem ludzkość rozwijać się powinna. Było to konieczne przejście idei chrześcijańskiéj przez kriterium rozumu (*). Krystalizując nasze pojęcia, widzimy, że wieki starożytne przedstawiają apoteozę materji; średnie i ostatnie, apoteozę serca i rozumu. Dzisiejsza świtająca epoka jest *apoteozą ducha!* Idea chrześcjańska dotąd w ludy wcieloną nie była. Pielęgnowały ją kasty, i nieraz do swoich nachylały widoków i celów.

Ludzkość musiała tę Boską ideę, nim do jéj pojęcia się zbliży, przepuścić przez

---

(*) Napomknąłem tu króciutko o duchowym rozwoju i wpływie dwóch ludów: Francuzów i Niemców, opuszczając wielkie imiona pojedyńcze innych krajów, które się wszakże potężnie przyczyniły w sprawie rozwoju ludzkiego ducha; lecz chodziło tu tylko o najgłówniejsze zarysy reprezentujące stan miniony kultury europejskiéj.

swoie serce i rozum. Kiedyś osobno stanowisko mych pojęć rozwinę.

Otoż, jak powiedzieliśmy, powaga filozofji spekulacyjnéj upadła, przeżyła siebie, nie zamknęła w sobie warunków potrzebnych do rozwicia się elementów społecznych. W formułach opartych na danéj przeszłości chciano zamknąć przyszłość całą. „Lecz życia widokrąg, który uważano za zamknięty, otwiera się, świat się dusi w formułach szkoły. Nie usiłujmy z kolei do potoku życia mówić: ty nie pójdziesz daléj. Prawo ludzkości powinno się składać z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, którą w sobie nosimy. Ktokolwiek dzierży jeden tylko z tych czynników, posiada tylko fragment z praw świata moralnego. Śledźmy ducha czasów, który już ubiegł, i słuchajmy nowego, który do drzwi naszych puka."

Europa czuje, iż ona żyje życiem, że się tak wyrażę, na kredyt; lecz kapitał życia dopiéro nagromadzić jeszcze powin-

na. Musi w piersi swojéj wypielęgnować, wykarmić to Boże ziarno, które Bóg w łono naszéj epoki zasiał. Z prawdziwą roskoszą powtórzę tu słowa wspomnianego pisarza francuskiego, którego zdanie tu najżywiéj podzielam: ,,Gdy religja jest punktem kulminacyjnym każdego narodu w szczególności, chrystjanizm jest ideą najwznioślejszą rodzaju ludzkiego; skąd wypada, iż człowiek, który chce objąć prawa ludzkości, musi koniecznie wznieść się na wysokość Ewangelii (*).

Wiek nasz jest wiekiem religijnym! Rozwicie na téj kanwie indiwidualności narodowych; sproszczenie symbolów idei chrześcjańskiéj; głębokie jéj pojęcie w duchu i przelanie w życie, we wszystkie warunki życia społecznego i domowego, będzie tém Słowem, które było

(*) *Si la religion est le point culminant d'un peuple en particulier, le christianisme est l'idée la plus elevée du genre humain; d'où il semble qu'un homme qui veut embrasser la loi de l'humanité doit necessairement se fixer à la hauteur de l'Evangile.*

u Boga, a które stanie się ciałem i zamieszka między nami. Sztandar ducha wzniesiony! Wszystkie konwencjonalne autentyczności sądów *in verba magistri* jakiejbądź cywilizacji, upadają; najwyższą autentycznością jest Bóg i duch Jego w ludzkość wcielony. Wstają nowe ludy, nową brzmią pieśń; fibry wewnętrznego życia poczynają się we wszystkich swych rozwijać pierwiastkach; słowo Chrystusowego braterstwa zaczyna się wcielać w ludy, nie w kasty.

Głębsze przejrzenie się w dziejach przekazało głęboką prawdę, iż biegowi rozwijaniu się ludzkości panują odwiecznie niezłomne Boskie prawa, którym narody tak ulegać muszą, jak zarówno w przestrzeniach ich ziemi tworzące się góry, wulkany, rzeki, bieg i zmiana ich koryt.

Cóż stąd wynika? Oto, każde indiwiduum,, każda społeczność, przynosi z sobą na świat konieczne warunki swoje-

go bytu i rozwicia się swojego. „Jako pielgrzymy i wędrowniki poruszamy się w naszém ciele, równie jak w kraju naszym, gdzieśmy się urodzili, i przez który naszę odbywamy wędrówkę. Nie zrodziliśmy naszego kraju z jego górami i równin przestrzenią; lecz w nim urodzeni, wcieleni w byt jego węzłami, skłonności i zwyczajów przywiązani do krainy naszego dzieciństwa, jak dusza do swego ciała: pozostaje więc nam w kraju naszym, równie jak w naszém ciele, działać, póki trwa dzień" (*).

Działać z najgłębszém rozeznaniem naszych obowiązków. Bez kary albowiem wspomnionych powinowactwa warunków przestąpić nie można. Z głębokiego ich pojęcia wyrasta rękojmia postępu. Filozofja historji i statystyka rozstrzygnęły głęboko tę prawdę (**).

Rezultat wieloletnich troskliwych po-

(*) *Schubert. Geschichte der Seele.*

(**) Zob. genjalne dzieło: *Physique sociale p. Quetelet.*

szukiwań statystycznych z poglądem wyższym na stan moralny ludów, przekazał nam przerażające na pozor postrzeżenia przepowiednich zjawisk, mających nastąpić na przyszłość, które wszakże wiernie odpowiedziały rubrykom tabelli. Obrachowano w obszarach rozległych krajów z dokładnością prawie aż do jednostek, wiele ludzi umrze w przeciągu roku, i jakiego stanu; wiele popełnią zbrodni, i jakiego rodzaju; ile, w jakiéj porze roku, jakiego wieku ludzie, jakie mogą wyrodzić się talenta etc. etc. Czysta, czysta wyrocznia!

Przerażający na pozor widok, myśl takiego niewolnictwa, takiéj konieczności, tak ślepego organicznego posłuszeństwa wolnéj natury ludzkiéj.

Statystyczne tabelle wyliczą na rok przyszły zbrodniarzy, i wolni ludzkie idą położyć się w tabelli dla zapełnienia wyrzeczonéj liczby! Więc od 18 wieków umęczony Chrystus; wszyscy męczeń-

nicy cnót, wszyscy, którzy dla świętéj sprawy ludzkości dali siebie na ofiarę, umarli daremnie? Więc postęp ludzkości, jéj odrodzenie się, jest tylko chimerą, mydlaną bańką w głowach marzycieli? I przecięż takich sądów nie mało! Lecz w obec prawdy rzecz się ma inaczéj! Wiele razy tylko prawdziwe światło przenikło w łono najbardziéj spodlonéj społeczności, wiele razy tylko łono ciemnoty przejrzało własny interes w cnocie, tam nikły zbrodnie, zmniejszały się liczby tabelli, wzrastali bohatérówie cnoty! Gwałtowne namiętności, co były kanwą zbrodni, stały się cnoty dźwigniami! I nad niedoli wezgłowiem zaświta szczęścia zaranie!

I księga Mądrości i pisma głębokich myślicieli przekazały nam tę prawdę, że ani indiwidua, ani ludy, bez własnéj pracy i ofiar ani swojego wykształcenia, ani zbawienia dostąpić nie mogą.

Jedno jest tylko prawdziwe nieszczę-

ście równie dla indiwiduów, jak i dla narodów całych jedno jest tylko nieszczęście: spodlenie, ducha utrata! Wszystkie straty serca, jako i straty materjalne, bolesne, często okropne, wybiją człowieka z jego własnych brzegów, wyniosą za granicę siebie; są wszakże zwyczajnemi dolęgliwościami ziemskiemi. Człowiek je znosi, a Bóg wspomaga i cierpiących z pokorą ku Boskiéj podnosi godności. Inaczéj jest z tém prawdziwém nieszczęściem — spodlenia: bo tam niéma gdzie szukać pociechy; tam człowiek nie wejdzie do głębi siebie, gdzie Bóg przeżywa. Idzie szukać szczęścia daleko, daleko; gotów dlań poświęcić życie i wszystko, powierzyć się burzliwościom mórz i losów; lecz szczęścia znaleść nie może: bo ono jest schowane w nim samym; lecz niestety! on odbiegł daléj od siebie, niżeli do ostatnich mórz krańców, do przeciwległych świata biegunów; on szczęścia nie znajdzie, bo je depce wła-

snemi nogami! Aż się obejrzy i ukorzy, i szczęście zdeptane z pod stóp swych podejmie. *Nam qui peccare se nescit, corrigi non vult.*

Błogosławiony, kto z podniesionym duchem w natchnieniu proroczém zobaczył szczęście i zawołał: „jam szczęśliwy!" On przeczuł to szczęście na ducha wyżynach.... on jest nieomylnym prorokiem; lecz droga dla innych tam bardzo daleka. Trzeba tam wzlecieć na świętych skrzydłach ducha; trzeba się usposobić do wielkiego lotu; trzeba piérwéj pożyczyć oczu bazyliszka, i spójrzeć wgłąb siebie, i zabić swoję nikczemność, oczyścić się i uduchownić się. To nasza na dzisiaj najgwałtowniejsza robota, nim wzlecieć zdołamy. I tyle tylko razy udało się ciałom społecznym zrzucić z siebie splamioną i podartą odzież, a przyjąć nowe i świéże szaty, tyle razy tylko udało się postawić krok na przód, ile razy organizm społeczny umiał rozeznać

się w sobie, zgłębić swoje pierwiastki i elementa, i w tém zrozumieniu swoję umiejętność i ducha swojego do pewnych zrozumianych nakierować celów i dążeń. To samo rozumie się i o indiwiduach. To jest prawo normalne postępu; historja téj prawdy, rękojmia. Wszystkie reformy społeczne, jakkolwiek różnorodne, jednę i tęż samę przebiegły elipsę w znaczeniu téj prawdy.

Nie jedna społeczność w wiry okropnych strącona otchłani, iść musiała na boleści i rozmyślań puszczę, by się w głębiach swych piersi przejrzała i wolę Boga i missję swoję odgadła.

Dla zapełnienia życia jakiego narodu nie wystarczy natchnień chwilowych.

Nie dość Boskie mieć natchnienie,
Trzeba Boskie mieć sumienie.

Upić się na chwilę zapałem, a potém rzucić się na łoże letargu i kalać się w błocie samolubstwa! drugą bytu swojego połową zaprzeczyć całkowicie piérwszéj;

to nie znaczy chcieć szczęścia, to nie znaczy umieć je pojmować. A przecięż to tak widoczne dzieje. A jakaż przytém straszna ciemnota w warstach społeczeństwa, co świecić powinny.

Literatura narodowa powinna być refleksem, źwierciadłem życia wewnętrznego. Przebiegając pasmo życia indiwiduów czy narodów, ażeby zobaczyć fizjognomję ich ducha, dwa sobie robimy pytania: co oni myślili? i co robili? Reflektując myśli ich i czyny, rzucamy światło z jednych na drugie; i po nich się poznaje charakter wieku i czasu. Jedna z prac moich, którą tu przedstawiam, miała na celu zreflektowanie kilku główwnych rysów naszéj społeczności. Daleki jestem (mówię to w prostocie ducha) mniemać, ażebym dokazał tego, ile trudność zagadnienia wymagała. Na dokonanie tego większychby sil potrzeba było, większego talentu.

W rzeczach sztuki i imaginacji jedno

główne zachodzi pytanie: czy jakakolwiek produkcja nosi w sobie konieczności warunki? Lecz ta konieczność jeszcze jest dwojaką: bezwględną czyli odniesioną do praw niezbędnych sztuki i potrzeb społecznych, i względną odniesioną wyłącznie do autora. Dogodzenie obu konieczności warunkom stanowią utwor pożyteczny. Ten sąd nie do mnie należy. Jedno tylko, z całém męztwem cywilném, śmiém sobie rościć prawo, że pisałem z najwyższą szczéróścią ducha, z nieprzełamaną wewnętrzną potrzebą.

Jeżeli gdzieniegdzie mój pogląd wyda się jaskrawym, nic na to nie odpowiem więcéj, że tak własnemi widziałem oczyma. Jeżeli w usta duchów włożone słowa nie zawsze tchną eterem; gdyby to chciano uważać za grzech przeciw sztuce, to się bronić przeciw temu nie będę. Nie zawsze ludziom mówić to wolno, co wolno duchom. Nakoniec nie o dogodzenie sztuki warunkom, lecz naszemu

przekonaniu tu bardziéj chodziło. Jeżeli nie wszystkie odcienia naszéj społeczności dotknięte tu zostały, to może insze moje prace dotkną je bliżéj. Znawcy sztuki i natury poetycznych utworów aż nadto dobrze są przekonani, że poemat nie może być traktatem obyczajowym.

Niech każdy robi, co może.

Antoni Sowa.

przekonania to bardziej chodziło. Jeżeli nie wszystkie odcienia naszéj społeczności dotknięte tu zostały, to niedostateczne moje prace dotkną je bliżéj. Zawsze sztuki i natury postrzeżnych utworów aż nadto dobrze są przekonani, że poemat nie może być traktatem obyczajowym.

Niech każdy robi, co może.

Antoni Sowa.

Do Drugiéj Edycji.

Grzeszyłbym może przeciw świętemu uczuciu wdzięczności tłumiąc w sobie głos, że tak nazwę dziecinnego ukontentowania za to współczucie z jakiém piérwszą moją pracę powitali ziomkowie moi. Ten głos dziecinnéj radości chciałbym i dla siebie-starca *zachować, i o jedno tylko raz na zawsze współubiegać się miano zostać dobrém dzieckiem swójéj społeczności i czasu. Na to pracować nie tylko się godzi, lecz raczéj zdaje się być każdego obowiązkiem; bo tu jest węzeł łączący ludzi świętym ślubem miłości u ołtarza postępu i zbawienia.*

Z roskoszą przyjąłem uprzejme powitania licznych pism perjodycznych a nawet i dzieł ścisłéj naukowéj formy. Czytelnicy niemniéj swojego współczucia, domaganiem się w przeciągu kilku miesięcy drugiéj edycji, zaszczytne dali dowody. Że robionych mi postrzeżeń nie chcę zbywać lekceważącém milczeniem, dowiodę w kilku słowach wstępnych do II. Części Jordana, która ma rychło wyjść z druku. Woleliśmy to odłożyć do II. Cz.; gdyż możebyśmy się tu za nadto rozwlec musieli i nadużyli przyzwoitych rozmiarów przemowy, zwłaszcza że wstęp przy piérwszéj edycji umieszczony tu się dołączyć musiało.

Antoni Sowa.

I.

Wie sprang, von kühnem Muth beflügelt,
Beglückt in seines Traumes Wahn,
Von keiner Sorge noch gezügelt,
Der Jüngling in des Lebens Bahn!
Bis an des Aethers bleichste Sterne
Erhob ihn der Entwürfe Flug;
Nichts war so hoch und nichts so ferne,
Wohin ihr Flügel ihn nicht trug.

Schiller.

Jordan

(w stanie somnabulistycznym. Wierzchołek stromy góry, skąd przepaść. Tuż widać smętarz i kaplicę).

W Imie Boga, przysięgam, że śmiało polecę,
Choćby pęd duszy skrzydeł samego mię zabił.
Gdyby nawet mię zostać i blask raju wabił,
To przysięgam na Boga, że śmiało polecę;
I nic dzisiaj już biegu mojego nie wstrzyma.
Ja czuję, jak się żagiel méj duszy rozdyma,
I jak chęci huragan pędzi mię do lotu,
I jak po głębi duszy méj dziko przewiewa,
I zawianych pamiątek wygrzebł karawany;
W głębi łona rozwiewa uczuć oceany,
I pieśni wieków umarłych mi śpiewa!
Ja chcę się wiecznie poić dźwiękiem ich łoskotu.
Polecę pieśni falą na cudownych dźwiękach
Jęku umarłych z zawianych kurhanów;

I z szumem wichru pośród dzikich łanów
Mogił echa poniosą pieśń mą na swych rękach!
Polecę pieśni falą, rzeźwiącym oddechem,
Ze szmerem fali pogodnych strumieni.
Powitam kwiaty, łąki, uprzejmym uśmiechem,
I z echem gór się rozleję w przestrzéni!

(Wchodząc na wierzch góry).

Jeszcze daléj kilka stop!
Ty księżycu znijdź z za chmur,
Wskaż jaśniejszy mi tu trop,
Trochę jaśniéj mi tu świeć.
Serce moje! w bezdeń leć,
Zagraj piosnkę z czynem w chór!

(Śpiewa).

O, chciałbym mieć ducha władzę,
Wiosennego słońca ciepło!
Niech rozkwitnie, co zasadzę;
Niech odżyje to, co skrzepło.
Gdybym tam, gdzie myśl dobieży,
Mogł czynami ślad w ślad zdążyć,
Duszą świat cały okrążyć,
I śród skalistych wybrzeży
Jak strumień wezbrany płynąć,
Myśl nieba odbić w mém łonie,
Rozlać széroko me tonie,
Wylać się z brzegów — i zginąć!

Duchy bratnie.

Utonąć w łonie wieczności,
Zginąć w jednostce, a ożyć w całości!

Jordan.

Pamiętacież, bracia moi,
Te chwile, co tkwią tak żywo,
Gdzie pomników tysiąc stoi,
Gdzie się nadziei przędziwo
Chciało wytkać w szatę jawy —
W szatę czynów! — z życia strawy.
Żądaliśmy tylko tyle,
By, w ziemskiego bytu pyle
Łącząc znikome ogniwa,
Na kruchéj życia dziedzinie,
W świętą ludzkości świątynię
Przysporzyli snopek żniwa!
O, myśl ta, jak magja czaru,
Wydymała pierś młodzieńczą;
I kreśliła wielką tęczą
Cel przestrzeni i obszaru!
I wzywała zapaleńców
Do zapasów i podróży —
Ostrzegała — kto się znuży,
Nie dostanie na skroń wieńców —
A dostanie — nudy, czczości;
Że co tchu tam biedz potrzeba —

I mówiła: — do wielkości
Równie trudno jak do nieba!
Bo się wyprzeć siebie trzeba
I maluczkim być na ziemi;
Zwiać ziemskiego pył nicestwa
Dla lepszego tam królestwa;
Zostać tutaj wybranemi.
I przebaczyć ziemskie złości!
Z czystém sercem w imie Boga,
Oto tędy jedna droga
I do nieba, i wielkości!

Duchy bratnie.

Na wieki wieków, w jedno ogniwo
Związani z sobą popłyniem!
I wspólne święte uczuć przędziwo
W sercach wyprzędziem, rozwiniem.
Przez labyryntu życia ścieżki kręte
Roztoczym na świat cały jak nić Ariadny.
Przeskoczym śmiało wstęp podróży zdradny.
Z ogniska ducha będziem pić ponętę
Do życia męczeństw i znoju i trudu,
I w cud uwierzym i dożyjem cudu!
Byt nasz zaślubim w duchowe zamęścia.
Gdzie niéma cudu, tam niéma i szczęścia!

Jordan.

W wieczności, w przestrzeni,

Na gwiazdach i słońcach,
I w rąbkach kwiatów,
Na biegunów końcach,
I w tle strumieni,
I w tle szkarłatów
Jutrzeńki rannéj,
I w mgle porannéj,
I w rosy szkle,
I w trawki źdźble,
I wszędzie, i wszędzie,
Jest i był i będzie!
Stworzeń miljony,
Światów miljony,
To rąbki Jego szat,
To powietrzny puch!
Lecz kwiatów kwiat,
Lecz światów świat,
Nieśmiertelny duch! —
Za Jego promieniem
Szło życie z westchnieniem,
Ciemności mrok bledł —
Wgłąb' piersi człowieka
Cudownie zacieka,
I tam zaświtał — i wszedł!

Duchy bratnie.

Na ludzkiéj piersi biegunie

Duchowe rozświetlił słońca,
Co płoną, świecą — świecą bez końca!

PATRON ZIEMI.

O, ludzkość w nocy nie spocznie już trunie!

DUCHY BRATNIE.

W kopalni ducha głębiny,
W nieśmiertelne miny,
Zarzucić bytu kotwicę,
Piersi płomieńmi,
Czynów promieńmi,
Zapalić nocy gromnicę! —

(*Znikają*).

CHÓR DJABŁÓW.

Piosenka stara
Słodka ułuda!
Szczęśliwa wiara
W płomienie! — w cuda!
W życia konieczność,
W przyszłości bajeczność,
Słodka ułuda!
Lecz się nie uda!
Piosenka stara —
Tra ra ra ra ra! —

JEDEN Z DJABŁÓW.

Nadzieja chuda,
Chora na płuca,

I ciągle kaszla, życie wyrzuca,
Leci za góry i morza,
Leci choremi skrzydłami,
Leci nad życia bezdroża,
Obecność depce nogami,
Przyszłością życie posaży
W ciągłym z przyszłością frymarku —
A śmierć cichutko stoi na karku
I już zamawia grabarzy!

DRUGI DJABEŁ.

Doprawdy szkoda mi tych biedaków.
Ja się zaczynam rozczulać,
Doznaję jakichś niesmaków.
Polecim sobie pohulać!

(*Lecą*).



Jordan.

(*Wierzchołek stroméj góry, skąd przepaść. — Tuż widać smętarz i kaplicę*).

O, Jéj życie piękne było!
Ach! takie piękne jak Ona!
W sercu Jéj z bolów korona,
A w Jéj twarzy szczęście lśniło!
I miała takie spójrzenie
I tak anielskie uśmiechy,
Że Ją widząc, rozgrzeszenie
Zda się spływać za twe grzechy!
  Tam, gdzie ducha skrzydło dźwiga,
Niestulone uczuć pierze,
Gdzie pierś nigdy nie wystyga,
W młodocianéj, świętéj wierze,
Za kraj świata, w samo niebo,

W samo Boga jasne łono,
W chór aniołów, w świętych grono,
Tam Cię niosłem na promieniach
Mojéj duszy; i w spójrzeniach
Twych odgadłem wniebowzięcie!
I szczęśliwszy nad pojęcie,
Niebo było mi potrzebą.
I przeczuło serce niebo —
Kochać Ciebie, wierzyć święcie.
To méj duszy koniecznością,
I rozumem mym i szałem,
To mém zdrowiem i chorobą.
Tak szalony Cię kochałem!
I nie śmiałem Ci złorzeczyć,
Chociaż ciężko chorowałem;
I nie chciałem się uleczyć,
Bo Ty byłaś mą chorobą,
A jam nie chciał rozstać z Tobą.
Ach! Ty byłaś mém i zdrowiem.
Czém Ty byłaś — nie wypowiém! —

Rozum, pamięć, nie spamięta,
Żaden język nie wygada,
Ni wypisać dłoń podoła,
Uroczystość tego święta,
Kiedy w serce nasze wpada

Piérwsza iskra niepojęta,
Która twoję pierś rozdmucha;
Kiedy piérwszy głos zawoła: —
Wstań, obudź się, iskro ducha!
Zabrzmi trąbą archaniélską,
Duchowego przebudzenia,
I zaśpiewa pieśń anielską,
I wywoła z bytu cienia,
Uczuć słońca, co zapłoną,
I nanowo byt owioną,
I niebieską rosą skropią,
W piersi ziemskość twéj roztopią,
I na Boga wzniosą łono,
I rozetlą ducha rdzenie,
Myśl wyniosą — ha w przestrzenie!
W wiry światów — na plemiona
Bratnich rodów — obcych ludów.
I pierś zabrzmi pieśnią cudów,
Tuląc cały świat do łona!

Jordan (*postrzega postać kobiéty*).

Ach! to ona! toś ty! droga!
Ach! w te miejsca! o téj porze!

Aniela.

W sercu mojém jasne zorze,
I dzień wieczny, jasność błoga,
Odkąd wpłynął w serce moje

Ducha twego jasny promień,
I wywołał życia zdroje,
Pierś owionął święty płomień;
Taka w sercu uroczystość,
Jakby codzień był dzień święty,
Jakby duch był w niebo wzięty,
Taka święta przezroczystość!
Ach! dokoła, myśl wesoła,
A tak jasna i zielona,
Tak jak gdyby z mego łona
Ciągle rosły kwiaty nowe,
Więcéj wonne i tęczowe,
Niżli maju dzień je stwarza!
Ja je wszystkie wiążę w wianek,
Ach! i niosę do ołtarza,
Gdzie ty świecisz mój kochanek.
I tam ciebie niemi wieńczę,
Tam je tobie składam w darze:
Bo czémż tobie ja zawdzięczę?
Czémż piękniejszém cię obdarzę?
Tyś jedyny, tyś mój drogi,
Zasiał ziarna takich kwiatów,
I owoce lepszych światów
Pośród ziemskiej wskazał drogi.
Ja Cię kocham! i na wieki
Jestem twoją, będę twoją.

Żadne siły nie rozdwoją,
Jako fali jédnéj rzeki!

JORDAN.

Popłyniemy tak na wieki.
Jam na wieki twój — tyś moją!

(Jordan *zbliża się, podaje jéj rękę, chce ją uścisnąć — postać kobiéty znika.* Jordan *przebudza się*).



II.

. . . . ye may
Read, or read not, what I am now essaying
To show ye what ye are in every way.

. . . .
By those who love to say that white is black.
So much the better! — I may stand alone,
But would not change my free thoughts for a throne.

* * *

Czy widziałeś ty szatana
W własnéj piersi, gdy zagości,
I obejmie władzę pana,
I panuje bez litości?
Zrobi z duszy twéj ciemnicę,
Zgasi Boskich prawd pochodnią,
I zasępi zbrodnią lice,
I poczerni serce zbrodnią.
Każdy dzień twój, każde chcenie,
Jak indyjskich krzewów cienie (1),
Truć cię będą — duszno, ciasno.
Wszystkie gwiazdy życia zgasną,
Tylko świeci wzrok szatana!
I niech tylko jedna zbrodnia
Nieskruszona pierś obwinie,
To już potém nowa co dnia. —

I pierś zmieni twą w pustynię,
Gdzie syczących wężów stada
Będą gośćmi powszedniemi;
I ucztować będziesz z niemi;
I wylęgną się w plemiona —
I wypiją boskość z łona —
I skończona już biesiada! —
Wtenczas, wtenczas duszy biada!
Aż nakoniec pierś styrana,
Ciężkiéj probie ulegając,
I bolejąc, i wzdychając,
Łzę, westchnienia, szle do Pana,
I pokorą czynu, ducha,
Boski ogień w niéj rozdmucha;
Łzą, westchnieniem, brudy łona
I oczyszcza i obmywa;
I przez Boskie te ogniwa
Dusza z ciemnic wybawiona!
Bóg też dójrzy, spójrzy na nie,
Przyszle piersi pozdrowienie,
Przyszle sercu uleczenie,
Przyszle duszy zmartwychwstanie!

* * *

Słuchajcie bracia o! gorzkiéj piosenki.
Ale ten kielich wypróżnić raz trzeba.
Ja go spełniłem, i boleści męki
Dobru waszemu i na chwałę Nieba
Z pokorą ducha składam u ołtarzy —
U serc ołtarzy, w których głębokości
Nadziei ziarna, wiary i miłości!
Tym sercom składam, w których jeszcze drzémie
Boskość przeczysta, i to święte imie
Chrztu wznowionego, w świętym chrzcie cierpienia;
I którzy krzyża talizman odgadną,
I w życiu swojém swe życie owładną,
I całą duszą zapragną zbawienia!...
I tym, co oczy zaprószone zmyją,
Serca wykąpią w świętych źródłach wiary;

Co z męztwem kielich goryczy wypiją,
Nie przez chęć nagród, ni przez bojaźń kary. —
I składam jeszcze tym sercom niewinnym.
Których duch jeszcze w pieluchy obwiciu
Rozwija loty ku pełnemu życiu,
By zrobić szczęście i sobie i innym.
Nie wznoście żalów za ten napój gorzki.
Aby wyzdrowieć, dostać się do nieba,
Trzeba pokuty, i goryczy troszki.
Tak, gorzki kielich wypełnić nam trzeba!

Ranek. Jordan tylko co przebudzony ze snu.

Wieńce i kwiaty — całuny,
Sen i jawa — jawa, sen —
Dwóch przestrzeni, dwa bieguny
Niedojrzanych oku den! —

Ziemskie człowiek wziął spójrzenia,
Poplątane pasma marzeń,
Tło dziedzicznych wyobrażeń,
Mięszanina światło-cienia —

Lecz gdy święcie, niewidzialnie,
Lekko, duch w kraj ducha wpłynie,
O, dopłynie aż w świątynie,
Gdzie duchownych min kopalnie!

I ziemskości kajdanami
Brzęknie, ciśnie, w proch rozwali,

Ocz duchownych blask rozpali,
I z ciemności otchłaniami
Na wiek wieków się rozpada!
Rzuca biedne swe sieroctwo,
Nie boleje już, nie strada:
Bo już świętych słów proroctwo
Pierś rozdartą ma na pieczy,
Już świętego słowa ciało
W jego piersi zamieszkało!
I rozpięty umęczony,
Bolejący duch człowieczy,
Na wiekowych krzyżu bezpraw,
Tryumfalny, oświecony,
Przez piekielnych otchłań przepraw,
Przez ucisków, jęków tonie,
Przez głód, nędzę, łzy ludowe,
Duch ludzkości szedł w obronie,
I wywalczy życie nowe!

Tryumfalny, oświecony,
Ną dziejowe wbiegł zagony,
W balsamicznych zdrojów ścieku! —

Djabli w piekle nic nie wiedzą,
Po dawnemu w smole siedzą;
Lecz to wiedzą dzieci wieku! —

Salon Marszałka Ćwika.

Selten wurde ich verstanden —
Selten auch verstand ich euch;
Nur, als wir uns im Koth fanden,
So verstanden wir uns gleich —

Heine.

(*Wieczór. Towarzystwo mężczyzn. Piją herbatę, palą cygara i grają w preferansa.* Prot *wchodzi.*

Marszałek Ćwik (*do* Prota).

Słyszałeś kiedy o takiéj facecji?
Osiem bez atu, i zgadnij, bez wielu?

Prot.

Bez ośmiu.

Marszałek Ćwik.

Cóż drwisz? przyjacielu!
As i dama kierowa; król pik samotrzeci;

Król, dama, walet karo; i tref as, król, dama —
Byłem bez cztérech! to rzecz niesłychana.

PROT (*Poziewając*).

O, i mnie spotykała facecja ta sama.
Dawno już gracie?

1-SZY Z GRAJĄCYCH.

Od samego rana.

PROT.

Więc życia używacie.

2-GI Z GRAJĄCYCH.

Tak sobie po trochu.

3-CI Z GRAJĄCYCH.

O wynalazku nie myślimy prochu!

4-TY Z GRAJĄCYCH.

Gram.

1-SZY Z GRAJĄCYCH.

Pas.

2-GI Z GRAJĄCYCH.

Pas.

3-CI Z GRAJĄCYCH.

Ja powistuję,
I, tak jak myślę, będziesz w ambarasie.

4-TY Z GRAJĄCYCH (*odkrywa*):

Dwie tylko bierzesz. (*Kasuje swoje bety*). Wszyscy na atłasie.

Marszałek Ćwik.

Nie bardzo wszyscy — jam siadł na kitaju
I dziś się zgrałem.

3-ci z grających.

To już ze zwyczaju,
Ty z nałogu przegrywasz, i to ci do twarzy.

Marszałek Ćwik.

Być może. Wszakże ja przez ekonomją
Tą raząbym handlował na twą fizjognomją.
Wprawdzie psia trochę, lecz się z wygraną kojarzy,
I im więcéj wygrywasz, tém jesteś piękniejszy.

3ci z grających.

Ty przy każdéj przegranej jesteś dowcipniejszy.

Prot.

Dalibóg widzę jest ruch umysłowy,
I głębokość pomysłów, i nowotność dykcji.
Jabym pudla mojego postawił w ewikcji,
Że on do psa podobny jak dwie krople wody.
Trochę ma może za wiele urody!

3-ci z grających.

Rozdobruchał się bestja, zaczyna dojadać;
Lecz nie będę się gniewać, kiedy będziesz gadać:
Bo lubię, gdy się twoje myśli rozhulają,
I wtenczas nie pamiętam o żadnéj obrazie.
Lecz powiedz, jak też oni tobie wyglądają?

PROT.

Wszyscy, niestety! jak bydło przy brazie!

3-CI Z GRAJĄCYCH.

Przyjdzie nam z tobą pohandlować miano.

PROT.

To ty niby masz szczekać, a ja mam jeść siano?

3-CI Z GRAJĄCYCH.

Nie—przeciwnie—przyrzekłeś pod słowem, solennie,
Że przy pierwszém widzeniu najczulszą balladę
Będziesz improwizował — embargo więc kładę
Na twe słowo — i musisz nasz wieszczu płomiennie
Śpiewać pieśń o gorących zapałach miłości,
O ofiarach niewieścich, serc mękach, stałości!

PROT.

Złapałeś jako djabeł Twardowskiego duszę.
Smutna konieczność, któréj uledz muszę!

(*Odsuwa krzesło. Wszyscy w oczekiwaniu. Rozparty na poręczach poczyna improwizować*).

Héj dymu hawańskiego! bo wena wytycha,
Trzeba się upić narkotykiem dymu.

(*Pauza. Podają cygaro, które chwilę pali*).

Tfu! słaby nektar, daj jeszcze kielicha!
O dym i wino! — a pjanego rymu
Dorzucim trochę, to i bankiet będzie.

(*Pauza — pije wino*).

Mózg się rozhulał i czaszki krawędzie
Rozpycha — będziemy z piasku bicz kręcić.

Ha! gdyby z wina i dymu obłoku
Cóś skręcić, uprząść, i lunąć w potoku,
I mozgi wasze i myśli zamęcić!
Potok się wzdyma! płyń ubitym torem —
Sat sapienti! auditor fecit oratorem!

1-SZY Z GRAJĄCYCH.

Dalibóg mógłby wyjść na Sarbiewskiego.

2-GI Z GRAJĄCYCH.

O, pewno jeszcze przewyższyłby jego!

PROT (*improwizuje dalej*).

Rzecz począć -- — resztę niech wino dogada.
Nuż może pryśnie romans lub ballada.
Jest u myśliwych wyborne przysłowie,
Które chcę spełniać jak słowo pacierza:
Kiedy myśliwy nosi flaszę w głowie,
To w torbie swojéj będzie nosić zwierza.

Już czuję flaszę pod czaszki sklepieniem,
To i źwierz będzie — już wino promieniem
Przejrzystym strzela i rymów kaskady
Lecą po głowie — ha! będą ballady.

BALLADA.

Raz nad strumieniem stała dziewczyna,
Plotła wianki z niezabudki.
Na drugiéj stronie młody chłopczyna
Robił piszczałki i dudki.

Ona mu chciała oddać ten wianek
W zakład jéj serca i ręki;
A on na dudce, czuły kochanek
Opiać jéj cnoty i wdzięki.

Dziewczyna wianek czule układa,
To oczkiem za rzeczkę strzeli —
Aż wtém wianeczek z rączek wypada
I w wodnéj znika topieli.

Ona krzyknęła — głos echem wionął,
A chłopiec rzucił się wpław,
Płynął i płynął — — w końcu utonął.
Ach jaki smutny to traf!

(*Kilka głosów z uśmiechem*).

Jak to pięknie! jak to czule!

PROT.

Cicho! milczcie wy cébule!
Słyszcie, patrzcie, ot ballada
Płynie, leci jak kaskada,
Z Alp mozgowych z szumem spada.
Jeszcze słyszę szmer téj fali,
W któréj chłopiec z dudką w ręku,
Śród śpienionych wód obłęku,
Zginął. Chłopca nie dostali!
Gdzież się podział? — kto ciekawy,

Niechaj sobie rzeczki spyta,
Może go ryba pożarła?
A gdzież dziewczyna? — umarła!
Bo nie przeżyje kobiéta
Skonu kochanka — chyba śród zabawy,
Lub inny skoro kochanek
Przyjmie i odbierze wianek!

Marszałek Ćwik (*z powagą*).

To jest prześlicznie — to jest w duchu czasu,
To najlepsza poezja, jak ja ją pojmuję,
Kiedy ja czytam ją bez *ambarasu*,
To jest, czytając gdy się nie morduję.
To jest prawdziwa realna poezja,
Ale te wszystkie gorączki mozgowe,
Co exaltują i serce i głowę,
I umysł krzywią, to czysta herezja!

Prot (*z ironją*).

O! tak, poezja musi się odmienić,
I wszystkie chwasty z swéj grzędy wyplenić,
Musi raz jeden przecie się ocenić,
Musi rozwikłać dziwaczną zawiłość,
Z zdrowym rozsądkiem sprzeczną i z naturą.

Ja nie pojmuję prawdziwie tych ludzi,
Co dobrodusznie wierzą jeszcze w miłość,
Z całą bogatą jéj nomenklaturą:

Platonicznéj — eterycznéj?
To już wytchła nóta!
Już czas b rdzo niedaleki,
Gdzie będą mówić o tych miłościach
Tak, jak o cudach, albo o kościach
Dawno zmarłego Mamuta!

Wzdychająca Petrarkowa czereda,
Z całym sankiulotowym orszakiem
W obywatelskich rozkochana córach,
Lecąc ubitym już szlakiem,
W intellektualnym świecie
Zostanie jakąś bezsensów myrjadą,
Lub głośną w dziejach ludzkości facecją.

Kilka głosów.

Tak jest, facecją! wielką facecją!

Prot.

Uczucia i uczucia!
Tak pełne serca a puste kieszenie —
Z czczego żołądka płyną wszystkie ideały —
To jedna można w naturze próżnia.
Jest to dzwon pod machiną pneumatyczną głodu,
Smutny transcedentalnéj fizyki fenomen.
—Ach pomnę dawno przed laty:
Sławny w Mińsku Fizyki nauczyciel
Wielmożny Słabniewicz!

Na examinach publicznych corocznie
Pod szklannym dzwonem wróbla jednego umarzał!
Wróbel był smutną nauki ofiarą!
Widziałem — pomnę — biedne stworzenie.
Otwierał dziobek, chwytał powietrza ostatki,
Skrzydełkami wywijał, chciał lecieć,
Spadał na siłach i konał nieszczęsny!
Smutna nauki ofiara!
Lecz widok smutniejszy daleko,
Kiedy pod eterycznym dzwonem ideału
Ulatnia się westchnieniami życie
I kona pod nim wróbel-poeta,
Lub grzeczniéj, poeta-słowik!
Ach! i co stokroć jest gorsze,
Wyuczy westchnień cor obywatelskich,
I wyuczy piosenki księżycowo-słowiczéj,
Marzeń różowych i liljowéj tęsknoty!
A potém nawet, gdy i zapomną o wszystkiém,
Gdy czary romantyczne rozwieje fartuch kucharki,
I gdy w rozsądne powiążą się stadła,
I gdy matkami zostaną,
Skarżą się nad łożem mistrzynie obrzędu,
Że nowa matka ma osłabiony
Systemat nerwowy i jest w niebezpieczeństwie.
Nie wartoż na wieczne puścić zatracenie
Wszystkich poetów ze wszystkiemi ich

Myślami, czuciami, przeczuciami,
Pobrać ich do domu warjatów,
Powywieszać,
Wyłupić oczy jak Homerowi,
Lub na więzienie skazać jak Tassa,
Lub do domu warjatów tak jak Kamoensa,
Umorzyć głodem jak Grabego?
To burzyciele spokojności,
Podżegacze, siepacze, mordercy,
Tyrani!
Wszystkie ich książki popalić przez kata,
Jak książk Roussa,
I zabronić wszystkie książki,
Wszystkie książki zabronić,
Wyjąwszy gospodarskie, Szytlera,
A można jeszcze zostawić Kurjera!
O wtenczas ludzkość szczęsnym ucieszy się stanem,
Rozkwitnie zdrowia błogością,
Zdrowia! co nam ach ciągle ucieka!
O! spójrzmy na twarze nasze
I porównywajmy z przodków wizerunkiem,
Rumianych, ... szczęśliwych.
My z niemi porównani — skielety.
My przez tydzień nie zjemy tyle,
Co oni na jedno śniadanie,
I dnia jednego tak nie przeżyjem wesoło,

Jak oni całe życie! —
Ach życie nasze! ach życie!

(*Starzy zaczynają płakać, młodzi w różnych kierunkach salonu przechadzają się*).

JEDEN STARY (*łkając*).

To człowiek, który jasno rzeczy widzi.

MARSZAŁEK ĆWIK.

(*z powagą, zamyślony, oczy w górę*).

Kompletny człowiek! jakie myśli wielkie!

DRUGI STARY.

To osobliwość! to rzadki wypadek,
Żeby tak skończonego napotkać człowieka!

(*Wchodzi kilka nowych postaci, które się popularnie witają*).

MARSZAŁEK ĆWIK.

(*zwracając mowę do przybyłego młodzieńca* OSKARA).

Czy wiecie, że ten głupiec tak jest rozkochany,
Aż żal mi bierze: bo chłopiec kochany,
Jak go widzicie — wszak znacie Oskara.
Jeszcze pół biedy, gdybyż ludzka para,
Lecz w jednéj pannie, co nie ma feniga —
I tak się ucukrował miłością, jak figa!
I taki słodki, takie czułe serce,
Jak w grającéj tabakierce.

PROT.

To czarnoksięzki kluczyk jéj źrenicy
Tak wyuczył serce grać.

Zamiast tonów, ciemierzycy
Gdy czas wsypie, będzie czchać! (*)

O S K A R.

Znacie mą przyjaźń, ale tutaj wara!
Tu jest granica przyjaźni Oskara.
Ja cudniejszéj istoty nie widziałem w życiu.

Marszałek Ćwik.

(deklamuje z affektacją).

«Jednakowa nam gwiazda świeciła w powiciu;
Równi; choć różnych zdarzeń wykształceni ciekiem,
Postawą sobie bliscy, jednostajni wiekiem» . . .

. . . .

Stary Rotmistrz.

Dobre i żarty, piękne deklamacje;
Lecz trza rzec prawdę, nie szkodząc nikomu:
Panna się rodzi z poczciwego domu,
Rodzice piękną dali edukację,
A Pan Bóg także nie poskąpił wdzięku.
Ja sam ją małą nosiłem na ręku,
Wzrostu jéj świadkiem! i widziałem wzory,
Jakiemi w domu jéj serce karmiono.
To anioł ciszy i anioł pokory,
I najcnotliwszą pewno bedzie żoną.

(*) Wyrażenie prowincjonalne, zamiast kichać.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Jak mnie obrzydła ta kobieca cnota!
Cnotliwą klempą jest i moja żona,
Lecz dla niéj zwolennikiem zostałbym Platona.
Każdy jéj uścisk jest grzechem Tyssota,
I smutne życie każdego momentu
Grzeszyć przeciw Doktora albo Sakramentu!

1-SZY Z GRAJĄCYCH.

Wybornie! brawo! jak on mówi ślicznie!
Z jaką nauką! jak metaforycznie!

MARSZAŁEK ĆWIK.

Pretensji żadnéj nie mam do nauki,
Lecz i my wszyscy nie Salomonczuki.
Jesteśmy sobie podjezdki mierzynki,
Co to Cesarz francuzki w swoich pamiętnikach
Koniak nazywa. Zaczniemy od kpinki,
A potém możem skończyć na żarcikach.
Lecz też nie można i z nas tak żartować —
Też coś umiemy —

(*kartując karty*)

naprzykład tassować;
I to nie wszystko — także grać, passować.

2-GI Z GRAJĄCYCH.

Jeszcze nie wszystko — bo i urzędować.

Marszałek Ćwik (*figlarnie*).

To jest przymówka; ale mniejsza o to.
Takie myśli wiadomo, że szkodzą dygestji,
Nie są bynajmniéj hygieniczną cnotą.
Ale powróćmy do żywotnéj kwestji:
Małżeńskie śluby, to wymysł piekielny;
I to być musi dodatek kościelny,
To apostolskiéj jest wymysł stolicy.
Ot papież jakiś dla swéj synowicy,
Którą zbyt kochał i pragnąc jéj szczęścia,
Sakramentalne wymyślił zamęścia.

3-ci z grających.

Myśl bardzo wielka — wyrwałeś mi z głowy!
I słowo w słowo, jam przysiądz gotowy,
Że tak istotnie miało się przed laty.
Nadto i te i owe z małżeństwa intraty;
Lecz to mém zdaniem kosztowny Sakrament.
Cóż o tém Nowy powiada Testament?
Bo wyznam szczérze, jam człowiek otwarty,
Że ja zeń dotąd nie znam jednéj karty.

Marszałek Ćwik.

I ja nie biegły w téj literaturze.

(*Do 2-go z grających*).

Lecz ty znać musisz, ile sobie wróżę:
Bo jesteś bardzo małżonek wzorowy.
Lecz się czy dosyć masz tylko na pieczy,

By nie przypięto cóś czasem do głowy?
Masz żonę—wprawdzie. . . . jako Salomońskie rzeczy?
Lecz to rzecz najmniéj jest sakramentalna.
Jakże jest z resztą?

3-ci z grających.

Dalibóg fatalna!
Nudniejszéj bestji nie widziałem w świecie.
W niéj ujszysz żonę twą w żywym portrecie.

Marszałek Ćwik (*z ironją*).

Czy nie chcesz czasem kijów pokosztować!

4-ty z grających.

Może i mojéj chcesz broni sprobować?

Stary Rotmistrz.

(*z powagą i nieukontentowaniem*).

Styrałem pierś mą na kraju usługi,
Ale w piękności i cnoty obronie,
Wiém, że ją godnie jeszcze dziś odsłonię —
Starą piersią im spłacę młodości méj długi!
Wy jeszcze wtenczas byliście pisklęta.
Wielu z was jeszcze nie było na święcie,
Kiedy ja byłem w młodości méj kwiecie.
O! wtenczas więcéj było w sercach święta,
Więcéj godności w męzkim charakterze,
I więcéj prawdy w uczuciach i wierze.
My wszyscy prawie byliśmy żołnierze,

U nas nie miano kobiét w poniewierce,
Mieliśmy wtenczas i my młode serce,
I kobiéta cnotliwa była nam aniołem,
Balsamem życia, nędzy i duszy połową,
I w naszych sercach uczuć szlachetnych żywiołem,
I osłodą boleści wiszących nad głową.
I ja kochałem, i ja byłem młody.
I ja pragnąłem przestrzeni, swobody.
Człowiek starzeje i w grób się położy,
Lecz młody zawsze żyje w nim duch Boży,
Póki człowiekiem! —
Póki nie zbydleje:
Bo wtenczas z wszystkich on uczuć się śmieje —
Wy się młodzi śmiejecie z świętości uczucia —
Czy to zyski mądrości? czy może zepsucia?
Wy pewno mędrsi — lecz powiedźcie mnie,
Czy pamiętacie, co tam napisano:
Po ich uczynkach rozpoznacie je? —
Was po uczynkach jeszcze nie poznano;
Ale i na was przyszłość sąd wywoła,
Czas zbierze czyny na dziejowy wieniec,
I wieczny wstydu sromotny rumieniec
Bezwstydne serca okrasi i czoła! —

P r o t.

(ze szczérością, rozrzewniony całując ramie).

Rotmistrzu! cześć ci niosę z rozrzewnieniem syna!

W ustach twoich, Rotmistrzu, prawdy święte słowo.
Z mogiły deskę odwalasz grobową,
By słyszeć jęk grobowy, co nas upomina!

(*Towarzystwo całe pomięszane.* Rotmistrz *rozrzewniony odchodzi.* Prot *wychodzi do drugiego pokoju z boleścią i goryczą*).

Ach Boże! życie moje — i cóż z tego życia?
Jeszcze żyjąc, odbywam wczesny proces gnicia,
Dzielę śmiech brudnéj zgrai! i toż moje dzieje? —
Czyliż ja, tak jak oni, me życie prześmieję,
I oddam je bydlęcym uciechom w ofierze?

A gdzież piérwszych dni moich najświętsze nadzieje?
Dźwigające wysoko młodych uczuć pierze,
Które młodego ducha w daleką żeglugę
Sposobiły na kraju i braci usługę?
Toż życie, pasorzytnie, tak marnie przeminie,
Jak chwast podły na świętéj ludzkości dziedzinie?

Ach! jak straszne męczarnie, lecz tak zasłużone,
Okropnie pierś mą dojmują i tłoczą,
Gdym sam swym sędzią, gdy zdzieram zasłonę,
Gdy się w myśli pamiątki przeszłości jednoczą!

Czuję, jak życie moje brudną piję czarą,
Gdy nić złotą nadziei, świętych chceń młodości,
Wiążę z nicią obecną pogniłą i szarą!

O! każdém drgnieniem serca i widzę i czuję,
Jaką kanwę żywota dla siebie gotuję,
Na któréj będzie jedno wyszycie podłości!

— Gdybymż jeszcze samotny został na tym szlaku,
Czułbym karę za grzechy; i rzecz wypłacona;
Lecz w licznym pobratymców widząc się orszaku
I bujnie chwastów krzewiące nasiona,
To serce pęka — i czemuż nie pęknie?
Jakimże cudem tyle bolów mieści?
Na strasznym sądzie słuchając powieści
Pan Bóg się zdziwi i piekło się zlęknie.
Znać podłość, z całą wzgardą brzydzić się podłością,
A jednakże być podłym! o! tego za wiele!

Ach! wieleż razy łzami zmywałem pościele,
I jutro miałem zostać zupełnie czém inném!
Czémże dotąd zostałem! — nikczemną nicością!
O! mniéj niż nicość!

(*z największą ironją*).

bo nicością się wiedzącą,
Żałującą bez skutku, bez skutku płaczącą!

(*Ociera łzy*).

Lecz raz potrzeba dopełnić zagadki.
Jam gotów byt mój poszarpać na szmatki!

Niech będę choć jak gałgan od plastra do rany.
Lepszy jest gałgan z płótna niżeli gałgany! . . .
(*Porywa za kapelusz i wychodzi*).

MARSZAŁEK ĆWIK I RESZTA TOWARZYSTWA.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Hej! cygar!

(*Służący przynosi cygaro*).

3-CI Z GRAJĄCYCH.

Lecz gdzież nasz Procio kochany?
Przybądź, kochanku! — tęsknimy do ciebie.

SŁUŻĄCY.

Długo tam siedział, coś mówił do siebie,
Płakał i wyszedł, jakby rozgniewany.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Wybornie! to lubię!
Polska natura — jak tylko ma w czubie
Wnet do romansów! Tak było i ze mną.
Nawet do nieznajomych kochanek płakałem,
Gdy nie było na jawie —
(*udając czułego*).
i czule wzdychałem!

2-GI Z GRAJĄCYCH.

Dziś tego nie dokażesz.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Tak, już dziś daremno!

3-CI Z GRAJĄCYCH.

To już z wiekiem natury pozbyłeś się polskiéj.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Dzisiajbym łatwiéj wzdychał—do krowy tyrolskiéj!

(*Śmieją się*).

3-CI Z GRAJĄCYCH.

Biegun sercaś skierował ku bydlęcéj drodze.

MARSZAŁEK ĆWIK.

I skłonnością ku tobie już tego dowodzę.

(*Śmieją się*).

1-SZY Z GRAJĄCYCH.

Lubię, gdy oni tak się ujadają.

2-GI Z GRAJĄCYCH.

Ale się przytém serdecznie kochają.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Czy jeszcze będziem grać?

3-CI Z GRAJĄCYCH.

O, nie, już pozno.

MARSZAŁEK ĆWIK.

No, to pójdziem spać. —

(*Rozchodzą się*).



Aniela i Walery (*krewny* Anieli).

Walery.

Powiedz mi, siostro, po bratersku, szczérze,
Widzę od dawna, jak się ty zmieniłaś;
Zda się, że w przyjaźń z troskami zażyłaś—
I w oczach stroska, w humorze i w cerze.

Aniela.

O mój Walery! ty jeden na świecie
Mojego serca, myśli powiernikiem.
Na całym świecie ni słowa przed nikim!
Taka samotność!

Walery.

A tak ludno przecie!
Tylu brzmią słowy codzień każde usta!

Aniela.

Tak, usta pełne, a pierś ich tak pusta!

Ach! ileż bolów dla serca na świecie!
Powiedzcie bole, czemu nie zaśniecie?
Skąd na was taka bezsenność!?
Wy, jako gwiazdy na niebios przestworzu.
Patrzycie w serca bezdenność,
Kąpiąc się we łzach serca, jako gwiazdy w morzu!

WALERY.

O siostro! ja znam boleści otchłanie,
Spełniłem liczne goryczy kielichy,
Nie na jednym nadziei płakałem kurhanie.
Ale twojego życia strumień cichy,
Śród kwietnych dolin igrając młodości....

ANIELA.

Serce me otchłań wypiło miłości.
Dziś tobie wyznam ze szczérością siostry.
Bądź moim sędzią, bądź surowy, ostry,
Lecz sprawiedliwy.
Ja kocham Jordana...

WALERY (*z surowością*).

Ja twój sędzia — kodeksów rozniecam pochodnię;
Sądzę surowo, że te twoje zbrodnie....

(*łagodnie*).

Są bardzo piękne, Anielo kochana!
On równy zbrodzień — oboje zbrodniarze
Podług serca kodeksu musicie być w parze!
To wyrok rozważony na Temidy szale.

Aniela.

Żartujesz ze mnie?

Walery.

Nie żartuję wcale.

Aniela.

Ileż szczęśliwa, gdybym mogła wierzyć,
I żagle wiary swobodnie rozwinąć,
I bez obawy w serce jego płynąć,
I sercem w serce uderzyć!...
Czemuż wątpliwość pajęczą nić snuje?
Czemuż on nie chciał nigdy mi powiedzieć
Tego, co serce takby chciało wiedzieć?
Taki szlachetny! mógłżeby być skryty?
Lub dumny? Czemuż nie chciał swych uczuć ogłosić?
Wiém, że ma serce płomienne — i które
Kochać musi. On mówił, że kocha naturę—
Kwiaty — obłoki —
że kocha kobiéty,
Jak najpiękniejsze z kwiatów przyrodzenia,
Jako najwyższe piękności odcienia;
Że miłość tylko jest na ziemi szczęściem—
— A niewzajemność — dodałam — nieszczęściem.—
A on rzekł: kochać byłoby nikczemnie
Dla tego, by nas kochano wzajemnie;
Że sam widok piękności już nas uszczęśliwia;

Że są roskosze wyższych ducha światów.
Dla czegoż nie prosimy o wzajemność kwiatów,
Ani obłoków, ni gwiazd, ni księżyca,
W których wzrok tonie i duch się zachwyca?
Gdyby do téj, co kocha, miał prośby zanosić,
O jedno tylko — mówił — chciałby prosić:
By tylko była szlachetną i piękną;
By godną była, by ją wiecznie kochać;
Tak karmić serce uczucia bogactwem.
Lecz najsmutniejszém z żebractwa żebractwem
Jest o wzajemność albo miłość prosić. —
I on to mówił z tak wzniosłą godnością!
Chwytałam słowa w méj duszy objęcia.
Lecz miłość taką możnaż zwać miłością?

WALERY.

Ach, tak — to wasze przechodzi pojęcia —
Dla serca twego myśl za ciemna trocha.
Lecz to jaśniejsza, że on ciebie kocha?
Nie prawdaż? — i zakończmy na tém.
Wybacz mi, siostro! mam dziwne nałogi:
Strasznie mię nudzą długie dyalogi,
Więc rzecz skończona — ja będę wam swatem,
Drużkiem — czémż jeszcze? — marszałkiem wesela!
A na weselu będzie weselsza Aniela?

(ANIELA *całuje* WALEREGO. WALERY *odchodzi*).

Aniela (*sama*).

Świętych mych uczuć wysłuchały Nieba—
Jordan mię kocha—nic mi już nie trzeba!
Jakżem szczęśliwa, że rodzice moi
Równie ocenić Jordana umieją!
Do smutnych życia mojego podwoi
Wszedł promień słońca z szczęśliwą nadzieją!

W pieczarze.

PROT, JAN, WACŁAW, WITOLD, BOLESŁAW, WALERY I INNI.

PROT.

Nie, nie podobna nam tak zostać dłużéj!
Czyż będziem jako warstwa podłéj ziemi,
Którą pług losu tak boleśnie płuży,
A kędy szatan chwasty swe rozpleni?
Jakimże plonem zakwitnie błoń w wiośnie?
Czyż mamy więdnąć w młodości rozkwicie?
Czyliż bezczynnie, podle strwonim życie?
Albo je będziem oszczędzać, jak tchórze?
I będziem czekać, aż hańba w nas wrośnie?
I wdziejem hańby na siebie obrożę?

WALERY.

I w piersi własnéj wykarmim przeklęstwa,
Co nasze życie i nasz grób ogarną?

JAN,

Na to większegoby potrzeba męztwa,
Niż oddać życie na rzecz nawet marną.

WACŁAW.

O, tysiąc razy!

WITOLD.

I cóż z tego życia,
Co w każdém serca drgnieniu upomina
O grzech, że żyjesz, że patrzysz, że czujesz,
Że z daru życia szydzisz i żartujesz?

. . . .

. . . .

BOLESŁAW.

I gorszą jeszcze! — bo życiem użyzniasz
Ziemię, na któréj podłe zielska wzrosną.

, ...

. . . .

. . . .

KILKA GŁOSÓW RAZEM.

Tak, być lub nie być — oto nasze znamie!
Przeklęstwo temu, kto tym słowom skłamie!

KILKA GŁOSÓW.

Jaki to tętent?

Kilka głosów.

Nic wcale nie słychać—

Głos jeden.

Drzwi są zaparte.

Kilka głosów.

Wyraźne tętnienia—

Głos zewnątrz.

Drzwi te wysadzę, choćby i z kamienia,
Choćby z granitu — tak! — wysadzić muszę!

Witold.

Co słyszę? brat mój!

Jan.

Jakaś awantura
Zda się na wstępie do nas się uśmiéchać.

Henryk (*za drzwiami*).

Ha! ledwo siły staje mi oddychać!
Tylu ciosami płodna czarna chmura!

Kilka głosów.

To głos jego wyraźnie.

Henryk.

(*bije we drzwi — drzwi się otwierają —* Henryk *wpada pijany*).

Co za czary!
Anim snił znaleść takie zacne grono!
Co wy robicie tu, śród téj pieczary?
Czy was tu równie tak jak mnie wpędzono?

Słuchajcie, powiém wam dzieje okropne!
Jeszcze ze strachu cały prawie topnę!

Witold (*z żalem*).

Henryku! zawsze takie pędzisz życie....

Henryk

(*nie zwracając wcale uwagi*).

Trochem ochłonął. Oto, jak widzicie,
Z najokropniejszéj wyrwałem się matni!
Ale już dosyć — to już raz ostatni.
Nigdy się więcéj nie wdam w konspiracją.

Kilka głosów.

Cicho, co ty to mówisz?

Henryk.

Tak, mam racją!
Dalibóg, przecięż nie jestem szalony?
Słuchajcie prawdy czystéj tak jak złoto:
Znacie Franusia — to jest cud wcielony!
Biedak się w Zosi rozkochał po uszy,
I jéj też równie przypadał do duszy—

Znacie hrabię Fioli — to wcielone błoto—
Zęby wstawione — jedno oko szklane—
Materace od garbów — nogi watowane—
Takoż do domu panienki się wkręcił,
I też podobał i jak pies się wnęcił!

A mama rada, bo Fioli hrabia—
Tysiąc grzeczności! —zwykła płaskość babia!
I Zosi mówi: hrabia człek dostojny,
I dobry, miły, grzeczny— i przystojny!—
A niech cię djabli! — bo o piérwsze mniejsza,
Lecz każda małpa od hrabi piękniejsza.
Jako Bóg w niebie, tak to prawda szczéra.—
A Franuś biedak z miłości umiera!
Trzeba Franusia, myślę, wziąść w kuracją.
Więc zawiązuję zaraz konspiracją.
Poczekaj hrabio —najtrefniejszy Dandy—
Będziesz ty dyndać!—
Więc dla propagandy...

WACŁAW.

Cicho, co mówisz?

HENRYK.

Towarzystwo tworzę!
Gdy konspiruję, tom w cudnym humorze!
Im bardziéj w głowie idea dojrzewa,
To potop myśli głowę mi zalewa—
Nie mogę portu śród potopu zdobyć.
Jedno nieszczęście, że nie wiém, co robić;
A gdy się nawet najlepiéj uradzi,
To jakiś łajdak, albo tchórz, nas zdradzi,
Albo głupstw takich okropnych narobię,
Że mym spiskowym zaszkodzę i sobie!

Staś, Jaś i Józio, Wincenty, Hilary,
Piotr, Michał, Paweł i Antoni stary,
Wszystko, co żyło, było w konspiracji;
Nawet i dżokéj hrabiego Fioli!
Umowa była, aby po kolacji
Wpaść do sypialni hrabiego powoli,
Skraść materace, i zęby, i oko!—

Już noc naturę swą mroczy powłoką—
Chwile w gorączce nadziei się wloką—
Dano kolacją!—nic w usta nie wziąłem—
Hrabia w humorze! ciągle się wyszczerzał—
A Franuś, zda się, na stypie wieczerzał.
Jak upior jaki! ja aż się wzdrygnąłem,
Aż spójrzę, hrabia wyszczerza swe zęby—
O — myślę sobie — tego już za wiele!
Bogowie! rzekłem, wy zbrodni mściciele!
I zlekka, zcicha, wkładam me paluszki
Do wyszczerzonéj pana hrabi gęby—
Hrabia się zdumiał, a zęby jak gruszki...
Zęby jak gruszki? to złe porównanie—
Mniejsza z tém — chęciom zadosyć się stało!
Zęby wypadły — hrabia wzrok rozszerzył,
Tak, że i szklanne oko mieszkać tam nie chciało—
Lecz jakby piorun hrabiego uderzył—
Woła dżokeja — za mną się wysadził

I on i dżokéj — oba mię ścigali—
Dżokéj, choć w spisku, ale łotr mię zdradził!
Niechajby tylko ten raz mię złapali,
To jużbym więcéj nie chodził po świecie!
Szczęściem tu wpadłem!
A co? teraz wiecie?

WITOLD.

Wartoż życie i godność dla błahego celu
Rzucać pod nogi?

HENRYK.

A to wyśmienicie!
Jam na Franusia chciał tańczyć weselu,
Nie chciałem zginąć pozwolić kobiécie
Takiéj, jak Zosia.

WITOLD.

Któżby mógł ją zgubić?

HENRYK.

Mogłaby z czasem Hrabiego polubić—
No — nie polubić, zostać jego żoną,

WITOLD.

Gdyby do tyla mogła być spodloną,
By się przedała dla złota, imienia,
Godna pogardy, nie zaś poświęcenia.

KILKA GŁOSÓW.

O, godna wzgardy, przeklęta kobiéta,
Co topi serce w mamony czcicielu!

HENRYK.

Jesteście głupcy, powiadam, i kwita!
Jam na Franusia chciał tańczyć weselu,
I chciałem również Zosi ocalenia.

PROT

(*pomięszany wpadnięciem* HENRYKA).

Żegnam was, bracia!

(*Wszyscy żegnają się, dając znaki symboliczne*).

Jutro — do widzenia!



Walery i Rodzice Anieli.

Walery (*sam*).

Dzisiaj wiek czynów! o, powstańcie czyny!
A zgińcie myśli! bo z temi myślami
Przychodzą smutki, potém niemoc, spliny.
Ja nie chcę myśli, będę żyć czynami!

(*Po pauzie*).

Ale bez myśli cóż z tych czynów będzie?
Jakże więc począć? — więc i myśleć trzeba.
Więc te myśli przeklęte potrzebne są wszędzie?
Jaka to nudna rzecz myśleć — o nieba!
I trzeba zgłupieć wśród téj sowiéj sfery!
Lecz nigdyż nie myślili przecie bohatery!
Czynami naprzód szli zawsze w zapasy.
Jakie to głupie nastały dziś czasy!

(*Postrzega rodziców* Anieli *i udaje zamyślonego*).

Trza myśleć! — zbadać, co też myślą oni.

MATKA ANIELI.

Patrz — zamyślony.

OJCIEC.

Co myślisz? Walery!

WALERY *(do siebie)*.

To się nie łatwo przed wami odsłoni.

(Głośno).

Ja..... roz..... gniewany jestem na Jordana—
I rozbrat z nami! Wczorajszego rana
Zbyt mię obraził— i kwita z przyjaźni!

MATKA.

Jest to drażliwość twojéj wyobraźni.
Jordan, to chłopiec najpoczciwszy w świecie.

OJCIEC.

Ja go tak kocham, jak me własne dziecię.

MATKA.

I ja go kocham, tak jak mego syna.

WALERY.

A ja nie cierpię.

MATKA.

I cóż za przyczyna?

WALERY *(do siebie)*.

O! to wybornie— kochają go szczerze.

(Z udanym gniewem).

Ot tak, niecierpię—ja jemu nie wierzę!

MATKA.

To niéma wiary już na całym świecie!
To sama cnota!

OJCIEC.

On nie wié, co plecie.
Nie wiém czy znaleść takiego drugiego.
Jeśli on zrobił co na świecie złego,
To sobie chyba.

WALERY.

Ej! mniejsza o niego!
(Odchodząc).
Czyn dokonany! — i nasza wygrana!
Dobrze, żem był pomyślił — Aniela, Jordana.
(Wychodzi).

MATKA.

Co myślisz, mężu, o Hrabi Fioli?
On się mi wczoraj oświadczył; że kocha
Naszę Anielę.

OJCIEC.

Za szkaradny trôcha,
Przytém już stary.

MATKA.

To najmniejsze wady!

OJCIEC.

Aniela czy go kocha?

MATKA.

damy temu rady.

To już rzecz moja. Czwarte przykazanie
Wszystko rozwiąże i za miłość stanie,

OJCIEC.

Będziesz szczęśliwą?

MATKA.

O, ja za to ręczę.

OJCIEC.

Więc niech tak będzie!

MATKA.

Jutro ich zaręczę;
A w oktawę zaręczyn, w następną niedzielę,
Będziem obchodzić *Hrabiny* wesele.

OJCIEC (*z namysłem*).

Tak — toby było bardzo wyśmienicie!
Interesaby poszły nam lepiéj i życie.
Młodsze rodzeństwo skorzystać stąd może....

MATKA.

Świętym zamiarom pomóż, Święty BOŻE!

JORDAN (*sam*).

Gdybym ja zdołał być rószczką oliwną,
O, przyniosłbym z potopu wam wróżbę pociechy;
Gdybym ja zdołał być ogniem piekielnym,
Powypalałbym wszystkie z waszych piersi grzechy,
Z piersi zrdzawionych, co gangrena toczy,
I łzami ludów przemyłbym wam oczy!
I wzrok wasz ślepy, jako szczeniąt małych,
I głos wasz, który bydlęctwem kazicie,
Obmyłbym z wejrzeń i dźwięków spodlałych—
Lepszebyście przejrzeli i poczuli życie.

Braci szyderstwa bezbożne,
Przyjaźni upomnienia łzawe,
W codziennego życia strawę
Składały swoję jałmużnę,

Mięszały dary swe codzień!
Nieraz myśliłem, żem warjat, lub zbrodzień.
Śród długich dumań wieczora,
Nieraz z bezsennéj pościeli,
Jak niespokojny z grobu cień upiora,
Którego ludzie wyklęli,
Leciałem w bezdnie — lecz lotom szalonym
Białe pokory nie odbiegło pióro,
Ach! w Tobie Boże i w tobie naturo
Szukałem ulgi mym skrzydłom znużonym!

Wieleż razy głąb duszy chciałem wyspowiadać,
Czyli Niebios nade mną takie przeznaczenie,
Którego tajnie napróżno chcę badać,
Czy to losów dziejowych smutne pośmiewiska,
Ażebym cierpiał, cierpiał nieskończenie?

I na cóż pokochało me oko przestrzenie,
Tonące oku, za wzroku granicą?
I strome, znikające w mgły zwojach urwiska,
Które gonię szalony méj duszy źrenicą,
Nie mogąc skrzydłem podołać wzrokowi?
Na cóż upodobanki orle kolibrowi?

Bądź zdrowy, serca pokoju!
Ach! ty nigdy nie mogłeś zagościć w mém łonie!
I ty, ciszy domowéj poświęcony zdroju,
Co balsamem orzeźwiasz zmordowane skronie,
I serdecznego zbytki przygaszasz płomienia!
Ach! twą ciszę burzyły piersi mojéj tchnienia!
Nie dla mnie twoje dary, choć je cenić umiém!
Choć widziałem szczęśliwych, ich szczęście rozumiém,
I ich cnoty domowe ocenić umiałem,
Lecz zostać tak cnotliwym nie mogłem, nie chciałem?
Próżnobym w zagadnieniu topił się zawilém.
Dosyć, że takim ni jestem, ni byłem!
Czy serce lepszych przeczuć dźwiękiem się ograło
Czyli może ich szczęścia było mi zamało,
Bym go mógł równie jak oni używać....
Nie mogę siebie sądzić, i nie chcę zgadywać!....

Niechaj szydercy nikczemnie się śmieją,
I życie topią w rozpustach,
Niechaj się próżną łechcą nadzieją.
Życiem frymarcząc bez czynu—
Lecz równie podle brzmią i skargi w ustach,
Odkądś na krzyżu, za czyn Boży Synu!
Cierpieć i jęczeć, potém przywyknąć do jęku
Jako pies lub niewolnik do łańcucha dzwięku,

A potém się melodją łańcucha lubować,
Zlać się z jéj nótą, i przy niéj tańcować,
Jak na umarłych grobach tańcowano,
I zamiast serca — wychwalać się z raną?—

O, jak się życiu młodemu odsłania
Świat piękny wielki! Lecz wielkim być trzeba,
By go zapełnić — lub potrzeba zginąć,
I zginąć w bolach długiego konania!
I widzieć nieśmiertelność — a w nicestwo płynąć!
I codziennie spożywać powszedni kęs chleba,
I mieć pragnienie, głód wieczny, udziałem!
Szalony! przecię i to ja wiedziałem!
Ale są myśli, co jeszcze z powicia
Na wieki wieków upoją człowieka,
Z których nie zdoła wytrzeźwieć za życia,
Od których darmo ucieka!
Jednym Stróż-Anioł, a drugim szatani
Podają kielich w ciężkiéj życia probie.
Jedni i drudzy całe życie pjani,
A wytrzeźwią się aż w grobie!
Jedna przestroga — wciąż zapomnij siebie,
Ucz się z trucizny wydostać słodyczy.
Kielich nektaru i kielich goryczy
Bóg tylko jeden zrównoważy w niebie!

Lecz jakżem też samotny, i jakem tułaczy
O Anielo! gdy pierś ma odetchnęła tobą,
Różowy rąbek błysnął nad serca żałobą;
Błysnął, by zgasnąć; lub ażeby raczéj
Więcéj odblasku pożyczyć żałobie.
Rąbku różowy! płyń szczęśliwy sobie!
Niech cię losu czółenko wetcze w szczęścia szatę!
Szczęśliwy, ko za serce serdeczną wypłatę
Weźmie od ciebie, życiem się podzieli,
I przez świat pójdzie, roskoszniéj, weseléj
Pierś swą w dwojnasob powiększy, rozszerzy,
I snadniéj tak krzepiony do celu dobieży,
Kroplą rosy różannéj odwilży pożogę!
Lecz różną losy wskazały nam drogę.
«Ty mnie szukać nie będziesz, ja Ciebie nie mogę."



Obywatelskie Posiedzenie.

Gesellschaft, wie man wünschen kann,
Wahrhaftig lauter Bräute!
Und Junggesellen, Mann für Mann,
Die hoffnungsvollsten Leute!
FAUST.

(NOWOHERBSKI, ŚWIĘTOJANSKI, SZCZEROBŁOCKI, NOWOFRACKI, WYTCHLIŃSKI, ZBUTWIENSKI, MARSZAŁEK ĆWIK, PROT i *inni*).

ŚWIĘTOJAŃSKI.

Cóż z nowin słychać?

SZCZEROBŁOCKI.

Okropności same!
Zda się, że piekło otworzyło bramę
I chce co żyje w swoję paszczę schwytać.

PROT (*ciągle żartobliwie*).

Wolnoż się o te okropności spytać?

NOWOHERBSKI.

Same dość o nich mówią dzisiaj czasy.
Dziś cnota kontrabandą, zakazaną rzeczą.
Niecnót szkarada wpadła w pierś człowieczą,
A młodzież rośnie patrząjąc na lasy.
Przodkiby swoich wnuków się wyparły!
Gad samolubstwa w piersi się rozplemił,
Zysk podły wszystkie umysły ociemił.
Gdybyż wiedzieli, że jeden umarły
Poniósł w grób z sobą, za czém się tak gonił?
Bodaj ku prawdzie wzrok się ich odsłonił!

PROT.

Poznał Pan Nowoherski czaósw niegodziwość.
Ach! jaka dobra jest to rzecz, poczciwość!
Gdybyż to dla nas więcéj takich ludzi,
Jak ty, najlepszy z współobywateli!
Na samby widok nikczemni zmaleli,
Wszędzieby cnota kwitła jak na Żmudzi!

WYTCHLIŃSKI.

Pod taką prostą skromności osłoną
Jest Nowoherski cnotliwych koroną!

NOWOHERSKI.

To dobroć wasza więcéj we mnie widzi.

ZBUTWIEŃSKI.

O, nikt się przyznać cnót ci nie powstydzi!

Marszałek Ćwik.

Choć go nikt więcéj ode mnie nie kocha,
Lecz muszę wyznać, że jest twardy trocha.

Prot.

Wszakże niezbędny jest to przymiot cnoty.

Nowofracki.

Zwłaszcza, gdy zawsze z zapomnieniem siebie—
Lecz gdzie głos woła wdowy lub sieroty,
Tam jest zbyt twardym!

Prot.

Będzie za to w niebie.

Nowoherbski.

Na bardzą krótką chwilę was porzucę,
Bo muszę śpieszyć do Gubernatora
W sprawie dwóch sierot; lecz rychło powrócę
I z wami resztę przepędzę wieczora.

(*Odchodzi*).

Swiętojański.

Cały wylany uczuciom ludzkości!

Prot.

Jakim wzorowym jest panem dla włości!

Szczerobłocki.

O, i w tym względzie jest także wzorowym,
O ich byt bacznym, dla tego surowym.
Inaczéj trudno być z tymi łotrami!
Potrzeba tylko miarkować się w karach.

Prot.

Ale my rodzim tych łotrów w browarach;
I nie chcąc, muszą zostać pijakami.
I trzeba, żeby pili do przesytu,
Bo inaczéj na wódkę nie będzie odbytu.

Szczerobłocki.

Bądź Pan spokojny, będziem mieć siurpryzę,
Już dla nas wszystkich gotują akcyzę.
A wtenczas wszyscy pójdziemy z torbami.

Wytchliński.

Jeszcze zagadka i z inwentarzami —
Cóś dla nas także tajemnego wróży....

Prot.

W tém tajemnicy nie widzą niektórzy.

Szczerobłocki.

I bardzo wielka, Mości Dobrodzieju!
Na to nie trzeba zbyt wiele oleju.
Funduszów całkiem przemieni się stopa,
Bo teraz nie wiém, mam czy nie mam chłopa,
Bo wolno wszystko odebrać na świecie!
Lecz co posiadam, muszę wiedzieć przecie.

Prot.

To słusznie — ale widzi Pan Dobrodziéj,
Z najpiérwszych Królów, był to Król kołodziéj.
Chłop *eo ipse*, przeklęte djabelstwo!
Ale stąd w górę tak poszło ciesielstwo,

Że głupstw tysiąca w Europie matką.
Stąd to do dziś dnia jeszcze jest zagadką,
Czy chłop człowiekiem, czyli też jest rzeczą?
Lubo jak własność, jest pod prawa pieczą.
Bo w Ewangelji, co Chrystus powiada,
Że wszyscy bracią, to jeszcze jest kwestja,
Która się dotąd w Europie bada,
Czy się w ten szereg liczy i chłop bestja?
Wszakże sam Chrystus jest z arystokracji?

Marszałek Ćwik.

Więc w takim razie jest to rzecz bez racji.

Zbutwieński.

Rzecz się najgłówniéj tyczy propinacji.
W tém, mi się zdaje, jest główne zadanie.
Gdy chłop własnością być tylko przestanie,
Cóżby się wtenczas z całą szlachtą stało?
Wtenczas dla szlachty kres ostatni klęski,
Wtenczas szlachectwo jest rzeczą zbutwiałą.

Prot (*z ironją*).

Więc każdy szlachcic byłby Pan Zbutwieński,
I ródby Pański miał prerogatywę
W téj nawet zmianie.

Zbutwieński.

Jak to?

Prot.

Zbyt widocznie.

Pan urząd piérwszy nowéj szlachty pocznie,
Na co dam z góry mą afirmatiwę.

ZBUTWIEŃSKI

(przywodząc sobie na pamięć starożytność rodu, z rezygnacją do siebie).

Gdybym skorzystać miał na rzeczy zmianie,
Po co mi wglądać, co się z resztą stanie?

(*Do* PROTA).

A jakież będą nowe przywileje?

PROT.

Ej, poźniéj o tém — miéj wielkie nadzieje.
Będzie tak dobrze na ziemi, jak w niebie!

ZBUTWIEŃSKI.

Czyż mogę wierzyć?

NOWOFRACKI.

Ej, słuchasz — drwi z ciebie.
Wtenczas najgorzéj byłoby już z nami.

ZBUTWIEŃSKI.

Więc będę przeciw chłopom, a za browarami.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Tak musi myśleć każdy prawy człowiek,
Choć dziś z prawością nieraz kryć się trzeba.

ZBUTWIEŃSKI.

Będę tak myśleć do zawarcia powiek,
I będę kryć się, przysięgam na nieba!

KILKA GŁOSÓW.

Tak musi myśleć każdy prawy człowiek.

PROT

(patrząc przez okno, z uniesieniem).

Widzę Jordana!

MARSZAŁEK ĆWIK *(też postrzegając).*

Jak piorun śród Tatrów,
Albo jak ogon błednego komety.

WYTCHLIŃSKI.

Albo jak warjat z domu Bonifratrów.

SZCZEROBŁOCKI.

Albo jak rozum każdego poety.
Jednakże postać jest to dziwna bardzo.

PROT.

Me zdanie o nim jest troszeczka lepsze.
Sądzę, że perły wyrzuca przed wieprze,
I że dla tego tak wieprze nim gardzą.

ZBUTWIEŃSKI.

Ach! wszakże Jordan, to także poeta!
Dziwna to naszéj młodzieży zaleta —
Jak się pisać nauczy, zaraz pisze wiersze.
Ale Prot u mnie ma miejsce najpierwsze.

MARSZAŁEK ĆWIK.

O, bez wątpienia! czysty ogień Etny.
Ale ten Jordan, to warjat kompletny!
Trzeba go prosić. *(Proszą, wołają — JORDAN wchodzi).*

MARSZAŁEK ĆWIK.

Zamglony chmurami,
Czy deszcz, czy gromy wyrzucisz nad nami?

JORDAN (*z łagodnością*).

Nic, nic.

WYTCHLIŃSKI.

Jednak czémkolwiek musisz nas obdarzyć.

MARSZAŁEK ĆWIK.

Kiedy broń BOŻE nie jesteś w natchnieniu,
To musisz za nas choć trochę pomarzyć.

JORDAN.

I zasnąć za was — lecz cóż w przebudzeniu?

MARSZAŁEK ĆWIK (*z affektacją*).

Ożyć na wieki — w nieśmiertelném pieniu!

JORDAN (*do siebie*).

Któż może trupom dać życia porękę?
O! jak ich wszystkich do gruntu poznałem!

WYTCHLIŃSKI.

Ach, trzeba, trzeba zaśpiewać piosenkę.

MARSZAŁEK (*z ironją*).

Czekamy wszyscy, z natchnieniem, z zapałem!

JORDAN.

O, zgoda, zgoda — wszystko dla was zrobię.
I wam cóś się należy — i cóś trupom w grobie.

(*Siada przy fortepianie, gra i śpiewa*).

Piosenki śpiewam, piosenki,
Ale cicho, ale w sobie.
Myśli moje, jak robaki,
Toczą piersi, co już w grobie.
— Chociaż wszystkie życia znaki
Im na czołach połyskują,
Ale dusze ich są w trumnie.
Że trupami są, nie czują,
Chociaż żyją i ucztują,
Chociaż zgrają ciągną tłumnie,
Człowieczeństwa noszą znaki,
Ale to są wilkołaki!
Człowieczeństwa noszą znaki,
Ale to są wilkołaki!

MARSZAŁEK ĆWIK *do* SZCZEROBŁOCKIEGO).

O warjat! sensu gdyby za trzy grosze.

(*Do Jordana*).

To jest tak wzniosłe, wysokie, tak piękne!

SZCZEROBŁOCKI (*do* MARSZAŁKA ĆWIKA).

O, przestań, proszę, bo ze śmiechu pęknę!

MARSZAŁEK ĆWIK (*do* JORDANA).

Pewno śpiewałeś piosnkę z podań gminnych?
Może zaśpiewasz jeszcze z tekstów innych?
W imieniu wszystkich o to ciebie proszę.

JORDAN

(rozumiejąc dobrze cały ton mowy).

O, chętnie! byle stało chęci słuchać.

SZCZEROBŁOCKI *(do MARSZAŁKA).*

Jak umiész w nótę zwarjowaną dmuchać!

JORDAN *(gra i śpiewa).*

O, nie! to nie są wilkołaki wcale,
Ani też wilki, ni psy, ni szakale,
Ale są ludzie zacni i porządni,
Rzetelni, akuratni, uprzejmi, rozsądni,
Przedsiębiorący, zręczni i ostróżni,
Mili, weseli, a przytém pobożni;
Czytają książki bez uszczerbku czasu,
I są wszechstronni w swych pojęć rozmiarach;
Bogom ambrozją gotują w browarach,
A smołę djabłom pędzą z swego lasu!
A to, by z piekłem i z niebem być w zgodzie.
I tak bogaci są wszechstronną wiedzą.
Uczą, że źle jest płynąć przeciw wodzie,
A dobrze na dwóch stołkach jest siedzieć—i siedzą,

(Towarzystwo zmianą nóty pomięszane).

MARSZAŁEK ĆWIK.

Raptem być zaczął bardzo zrozumiałym!

SZCZEROBŁOCKI.

Zaczął być grubijańskim, a nawet zuchwałym!

PROT *(do JORDANA).*

O! czy nie można powtórzenia prosić?

Marszałek Ćwik.

To bardzo piękne; lecz możemy wnosić,
Że umie inne.

Jordan.

Na ten raz już dosyć....
(Odchodzi).

Marszałek *(szyderczo).*

Szybki i palny, jak kongreska raca.

Świętojański.

Lecz Nowoherbski nasz do nas nie wraca.

Prot.

I przyjaźni zapomniał dla biednych przez miłość.

Zbutwieński.

Musi być w interesie jakowaś zawiłość.

Prot *(zawsze z ironją).*

On złoto.... prawdy i z piekieł wygrzebie;
Lecz kiedy wyjdzie z piekieł, pewno będzie w niebie!

Żona Nowoherbskiego
(wpada, pytając o Szczerobłockiego).

O ja nieszczęsna! ratujcie Panowie!
Mąż mój! mąż ach mąż!
(Pada z wysilenia i boleści).

Marszałek Ćwik.

Niech Pani wypowie,
Cóż się z nim dzieje?

Szczerobłocki.

Widać przegrał sprawę.

KILKA GŁOSÓW RAZEM.

Jakieś nieszczęście!

NOWOHERBSKA *(odzyskując przytomność).*

Mąż mój nieszczęśliwy,
Niebios wyrokiem, nagłą dziś śmiercią dotknięty!

KILKA GŁOSÓW
(z przerażeniem między sobą).

Attak appoplektyczny — o, to cios dotkliwy!
O tu, przed chwilą, był pomiędzy nami.
Jak ona biedna zalewa się łzami!

NOWOHERBSKA.

Zabił go swym przyjazdem synowiec przeklęty.
Po cóż on przybył!

MARSZAŁEK ĆWIK.

A czy jest pojmany?

KILKA GŁOSÓW.

Porwać go, schwytać i okuć w kajdany!

NOWOHERBSKA.

Gdybyż na świecie była sprawiedliwość!
Ojcowską jemu niósł zawsze gorliwość
I opiekę, wychował tak jak swego syna.
Dziś się nędzny o jakiś fundusz upomina,
Z skargą, że mu w dzieciństwie puściznę zagrabił.
Stworzył jakieś dowody, i męża mi zabił!
O ja nieszczęsna! mój mąż! ten wzór cnoty!
Jam biedną dzisiaj wdową! a dzieci sieroty!

(*Całe towarzystwo pomięszane okropnie.* Nowoherbskę *omdlałą wynoszą do drugiego pokoju. Zostaje* Prot *sam*).

Prot (*z uniesieniem*).

O! jest pochodnia,
Przed którą zbrodnia
Traci tajni moc.
W najciemniejszą noc,
W najgrubszym mroku,
Jak w pół dnia, jak w zaranie,
Z nocy łona powstanie
I zaświeci oku.
Jaśniéj od promieni słońca!
— I tak w pamięci popłynie potoku,
I płynie, płynie bez końca!
Bez ustanku, wciąż.
Śliźnie się jak wąż;
W błędnéj, malutkiéj iskierce,
Śliźnie się za życiem w ślad,
Cichutko, aż pod serce!
O! pamięć okropny gad!

JORDAN (*sam*).

Jakie krwi morza w ludzkości dziedzinie!
Jeszcze z góry Golgoty ustawnie krew płynie.
— Tyle łez, jęków — i czyż to ostatnie?
To, co szlachetne, niesie swoję głowę;
A tamci życie spędzają jałowe,
Patrząc z pogardą na krew i łzy bratnie!
Tamci serca wydęli, z nożem Abrahama
Broczą się we krwi i łzach swoich bliskich;
A ci, brzuchów wydętych, serc małych i niskich,
Ucztę wesołą ścielą dla Beljala!
Jedni i drudzy w wspólnéj grzechu szacie:
Bo Bóg z niewinnéj nie chciał krwi ofiary.
Ale że z serca nieśli Bogu dary,
Wypili nektar w męczeństwa zapłacie.
Choć nieszczęśliwi, ale cnoty sludzy.
Oni umarli za to, że ci drudzy

Tak się wyparli człowieczeństwa znamion:
Bo gdyby wszystkie ramiona do ramion,
I do serc serca, i do duchów duchy,
To-by, ach! to-by w Chrześcijańskim świecie
Bliźniéj miłości rozrosło się kwiecie!
I świat w miłosci spojony łańcuchy
Zróslby się sercem! . . .

PROT.

(*wchodzi. Do* JORDANA).

Znać się lub nie znać, takie dzisiaj znamie —
Serce do serca, do ramienia ramie,
Uczucia, myśli, w szatę czynów wcielić! —
Ja tu przychodzę z tobą się podzielić,
I pytać ciebie, co począć wypada?
O, cenną dla mnie zbyt jest twoja rada.

JORDAN (*zimno*).

Rada oddawna jest to orzech próżny.
Iskra dumy szlachetnéj na czole twém świeci;
A ty jak żebrak chcesz prosić jałmużny,
Która cię krzywdzi i usta twe szpeci.

PROT.

A imie twoje mądrość oszukuje.
Jam Ciebie szukał, i tego żałuję.
Znawca serc ludzkich i badacz głęboki,
W piérwszem spotkaniu krzywe stawisz kroki.

Nie chcesz mię poznać! lub cię nie rozumiém;
— Lecz nadtom dumny — ja żebrać nie umiém.

JORDAN.

Więc pozwol spytać, czegoż chcesz ode mnie?
Chceszli to znaleść, co szukać daremnie?

PROT.

Ja nie przychodzę o nic ciebie prosić,
Ale me serce tylko z tobą dzielę.

JORDAN.

Czyliż masz serca twojego tak wiele,
Że i do dania masz mi jego dosyć?

PROT.

Plunę w twe progi i nie wrócę więcéj,
Albo mię umiéj odgadnąć i poznać.
Miałżbym od ciebie ja szyderstwa doznać!
Ja chciałem razem związać z tobą ręce,
Pierś naszę oddać przyszłości w zamęście,
I życie nowe roświecić w pomroce,
I stanąć jak opoka, i na téj opoce,
Jak Chrystus Kościoł, wybudować szczęście!

(JORDAN *wzruszony. Długa chwila milczenia. Potém z wielkiém wzruszeniem*).

O! to pusty, czczy dźwięk słowa,
To poważny, smutny żart;
Bez podstawy to budowa,
Domy z piasku, domy z kart!

Prysną tak, jak prysną słowa.
A pierś wtenczas, biedna wdowa,
Płacze po swym mężu — czynie —
Idzie głosić na pustynie.
Lecz łzy jeszcze, to nie czyny,
I nie czyny przedsięwzięcia.
. . , ...
Bo żal i łza niemowlęcia,
O, najtwardszą pierś zwycięża.
Lecz żal i łza nie dla męża!

I cóż po tém, że szlachetna
Pierś roztrwania życie, tchnienia?
Pośród skwaru, śród pragnienia
Gdy umiera — ach bezdzietna!

O, w gwałtownėm serca biciu
Pierś się wzdyma na wyżyny —
Najpiękniejsza chwila w życiu!

Lecz wyżyny nie dolecisz —
Skoczysz tchnieniem, runiesz, zlecisz:
Bo twój balon z pajęczyny!

I życie się sponiewiera
Wprzód, nim wielka chwila przyjdzie.

Czy ty znasz wzrost bohatera?
Musi wzrość na piramidzie!
Nie na cudzych piersiach wzrośnie,
Nie na cudzém wzrośnie słowie,
Lecz gdy duchem on wyrośnie,
Rozrośnie się w piersiach, w głowie.

Myśli wasze, to ogniki,
Które błyszczą śród mogiły.
Lecz w nich niéma dosyć siły,
By umarłych pierś rozżarzyć,
Próżne żalu jęki, krzyki —
Trzeba więcéj cóś, jak marzyć!

Bo wy śmieszni, wy myślicie,
Że wy wszyscy cudotwórcy —
Gdy zechcecie, dacie życie —
Chcecie władzę okraść Stwórcy!
Ogień Bóztwa, ogień z nieba,
Co zamieszkał pierś ludzkości,
Gdy się przyćmi, łaski trzeba,
Trzeba cnoty i miłości.
Bo to Boże są wachlarze,
To promienie Jego ducha,
Co Pan w wielkim złożył darze!
Człowiek cnotą i miłością

Tylko ogień ten rozdmucha.
Insze środki są nicością!
  Dane środki w upominku —
Korzystajcie. Czyż myślicie,
Że ten ogień rozżarzycie
Przy waszych środków kominku?
  Ducha strumień z nieba płynie.
Ludzkość wzięła go w dziedzinie;
A gdy zgaśnie w źwierzęceniu,
Niech pracuje, niechaj czeka,
Aż odkupi się w cierpieniu
Znowu na godność człowieka!

P r o t (*z ironją*).

A więc gadać, rzucić czyny?

J o r d a n.

Czyn bez ducha — zlepek z gliny,
Kruchy garnek. Próżne trudy!
Nie zgotujesz ty w nim strawy,
Co ma karmić szczęściem ludy,
Co ma zawieść je do sławy,
  Szukasz rady? rada — zdrada!
Rzadko w cudzą pierś przypada.
Kto rzecz obcą w siebie wchwytał,
Stracił siebie, dał na mary!
  Czy ty nie wiesz, co ów stary,
Gdy o radę go ktoś pytał,

Pytającym odpowiedział,
By umarłych zapytali?
Śmierć i życie, niby przedział!
Lecz jak w dźwiękach śpiżu, stali,
Głos się jeden w drugi wciela,
Tak w grze dźwięków Stworzyciela,
Tak w dziejowéj ludów pieśni,
Żywi brzmią umarłych echem!
Choć w grobowéj tamci cieśni,
Jeszcze karmią dźwięki swemi,
Swoją cnotą, swoim grzechem;
Jeszcze kończą pieśń z pod ziemi!
Niech się słuch twój tam zatrzyma.
Gdy się wsłuchasz w pieśni notę,
Prawdy w więzy tajnic skute
Staną wolne przed oczyma!
Ty chcesz rady? rada — zdrada!
Ty chcesz wiązać słabe ręce.
O, przysłuchaj się piosence!
Nie słuchacie? biada! biada!

Wy myślicie, że to życie
Jest zabawką sobie marną;
Lecz daremno! Wszak musicie
Pielęgnować w sobie ziarno,
Które Pan Bóg zasiał w łonie.

Czyś ty żebrak, czyś w koronie,
Czyś dziś szlachcic, czyś przed wiekiem,
Musisz naprzód być człowiekiem!

Tak to prawda, jak Bóg w niebie.
Potém wszystkiém stać się zdołasz.
W Imie Boże gdy zawołasz,
Bóg odpowié: stań się w niebie!
Bóg bez ciebie stworzył ciebie,
W twoję istność wcielił siebie;
Lecz gdy lecisz na bezdroże,
Bez ciebie, ciebie on zbawić nie może!

PROT (*do siebie z ironją*).

Teologiczno-filozoficzna rozprawa.
To za kosztowna na dzisiaj zabawa.
Jaki to u nas chaos wyobrażeń!
Jakie elefantyczne dziwolągi marzeń!

(*Nic nie odpowiadając* JORDANOWI, *odchodzi*).

Deklamator.

Ach, to z szału, to z warjacji
Wyrosł ustęp deklamacji!

Dziwny zbieg rzeczy! uważam, panowie,
Na pół ziewając, jednakże raczyli
Słuchać cierpliwie; a choć się znudzili,
Byli zbyt grzeczni — niech da Bóg na zdrowie.
  Lecz nasz poeta zwarjował okropnie;
I dziwne nawet rozbiegły się wieści,
Jakby chciał skręcić łeb całéj powieści.
Możeby nawet zrobił i *rostropnie?*
Bo długo mole gryzły mu ją w tece.
Lecz na nieszczęście to się stało latem,

Gdzie, jak wiadomo, nie palą się piece,
A zostać łatwiéj niż w zimie warjatem.
I insza jeszcze wieść chodzi po świecie,
Że się rozkochał okropnie w kobiecie,
Która pegazy jego wzięła muzy
W zaprząg swych wdzięków—lecz nie był szczęśliwy,
Bo musiał spożyć niesmaczne harbuzy,
A z nią się Podkomorzyc ożenił poczciwy!
Jak mówią, obywatel był to zbyt wzorowy,
Jadł i pił tęgo i łamał podkowy!
Ale poeta był tak strasznie chory,
Że w próg o mało nie skoczył wieczności,
Cha! cha! cha mało nie umarł z miłości!
I jeszcze wątpią do dziś dnia doktory;
A nawet jeden weterenarzysta,
Który jest bardzo biegły w medycynie,
Wniosł po poety długich włosach, minie,
Po prędkim chodzie, i po złéj grze w wista,
Że musi skończyć koniecznie na szuście,
I że poezje są jego w tym guście.
I zdanie jego podzielał Marszałek,
Któremu leczył krowy i owczarnie,
Z którym był bardzo, bardzo popularnie.
I gdyby nawet przyszło do sejmików,
Toby mu ze sto przygotował gałek.
Na urząd jaki, naprzykład Sędziego,

Pomimo sarkań powiatu i krzyków.
Lecz proszę, cóżby mogło być w tém złego?
Zmilkłaby rychło powiatowa rzesza:
Bo sąd nasz nie tak ścisły, jak prawa Minosa —
Dziś lepią bohatera, wznoszą pod niebiosa,
Jutro się jemu na szyi psy wiesza!

Trzebaż nad to poecie przez gry losów dziwne
Spotkać królewskie podobieństwo z sobą?
Choć dzieje spólne, lecz losy przeciwne.
Niech choć ta wspólność będzie mu ozdobą:
A szczęścia sprzeczność, królewska dewiza,
Smutki osłodzi i sąd twardy skruszy!
Król Saul, jak pastuch swego ojca Kiza,
Znalazł królestwo, idąc oślic szukać;
A on chciał w sławy królestwo zapukać.
Tronu nie znalazł, ale ośle uszy!
Czegoż błądził po urwisk przepaścistém polu?
Lepiejby może siedział w Marjanpolu,
Choć nie jak pastuch, ale jak Pan Sędzic,
Szlachcic od wieków! — oślicby nie szukał,
Aleby znalazł Sędziankę poczciwą,
Spójrzał i poznał, w jéj serce zapukał —
Może Sędzianka byłaby szczęśliwą?
Może szczęśliwszym byłby i Pan Sędzic?
Możeby nawet Marszałek powiatu,

Krzew najwonniejszy szlacheckiego kwiatu,
Byłby dla niego trochę więcéj względny,
Gdyby tor drogi nie wybrał tak błędny?
Bo raz się wszyscy Marszałka klienci,
Wszyscy uczeni, jak się ma rozumieć,
Nie mogli dość się nad bezsensem zdumieć
Poezji Sowy i pisarskich chęci!
On zhańbił siebie na wieki w pamięci
Pana Marszałka, równie i powiatu.
Czyż powiat tego nie opowie światu!
O biedny Sowo!

Ale nić dalszą weźmijmy do ręki!
Chory poeta wciąż Anieli wdzięki
Stroił w cudowne malowne obrazy;
A lekarz lód mu ciągle kładł do głowy!
Rozprzęgłych myśli zostały wyrazy;
I to jest wątek porwanéj osnowy:
Oddam wiernie, co tylko z powieści zostało;
Resztę muszę nadtoczyć — oby się udało!

«Na ziemi dziwnie, ach dziwnie panowie!
Dziejami serca rządzą losy sprzeczne.
To, co dla jednych jest serca konieczne,
Serca związane wyrokami Nieba,

Oddane sobie w świętéj uczuć wierze,
Przyjdą, rozerwą przekupnie szalbierze.
Długoż tak?....
Ale powieść kończyć trzeba!

«Wieczorem mówi matka do Anieli:
Trzeba by jutro poszła do spowiedzi.
Niechaj Duch Święty ją łaską nawiedzi!
Niechaj swe serce z kapłanem podzieli.

. . . .

I przyszło jutro, i spowiedzi pora.
Duch się dziewicy z pokorą położył
Przed namiestnikiem, co ją z Bogiem łączył.
Ksiądz dał nauki i spowiedź zakończył!

«Aniela przyszła natchnioną i czystą.
Niebo jéj było dziedziną ojczystą,
Lecz trzebaż, trzebaż było żyć na ziemi!
«Do domu wchodząc z myślami świętemi,
Znalazła matkę tak smutną Aniela,
Że całe szczęście, które w sercu czuła,
Boleść jéj matki w jednéj chwili struła!
«Bo uczuć matki nikt tak nie podziela,
Jak córki serce. Aniela płakała,
Badała w matce jéj bolów pobudki;
I wszystkie matki boleści i smutki
Takby na siebie wszystkie przyjąć chciała!

«Matka jéj rzekła: życiu memu świeci
Szczęście nie własne, lecz szczęście mych dzieci.
Możeszże myśleć, cokolwiek na świecie
Jest mi droższego jak ty? moje dziecię!
Nad twą kołyską me noce bezsenne
Krzepiły siły, nadzieje promienne,
Że kiedyś twojém ucieszę się szczęściem;
I w lat twych wzroście nieszczędzone trudy
Karmiły słodkie nadzieje ułudy,
Że pókim tutaj ja jeszcze na ziemi,
Że twą szczęśliwość zapewnię zamęźciem.
Umrę spokojna — nad zwłokami memi
Życia twójego błogość się rozleje,
I w grób poniosę spełnione nadzieje!

— «O matko moja! rzekła jéj Aniela,
Jażbym choć jednę twego życia chwilę,
Za ofiar tyle, za poświęceń tyle,
Miała dzień jeden struć twego wesela? —

«Anieli serce roskosznie rozkwita
Czystem różaném uczuciem dziewicy.
Uczucia raju pełną piersią chwyta.
Perłowa rosa świeci w jéj źrenicy.
Z przesytu szczęścia w serca głębokości
Łza dotrzymać nie mogła.
O, wszystkie miłości:

Boga, i bliźnich, i matki, i jeszcze...
Tak owionęły młode serce wieszcze,
I tak szczęśliwą być siebie sądziła,
Że tyle, tyle ani nawet śniła!

«Lecz ach! na sercu przez szczęście ogranèm
Przyjdzie los zagrać — i zagra gęsiory,
By wolnéj woli miał człowiek wybory,
Został aniołem lub został szatanem!

— «O matko moja! mówiła Aniela,
Twa dobroć, matko, dzisiaj mię ośmiela,
Dziś czuję siłę — tak się nic nie trwożę,
Że jak przed Bogiem me serce otworzę.»

W pomięszanego poety powieści
Spowiedź Anieli przed matką urwana.
Ja też nie myślę dopełniać jéj treści.

— «Jak to? niewdzięczna! ty kochasz Jordana!
Krzyknęła matka i spazmów dostała.
Ach! stokroć umrzeć, umrzećbym wolała,
Niżli to słyszeć! —

. . . .

«W sercu dziewiczém Anieli
Taka straszna rośnie trwoga!
Boleść i żal twarz jéj bieli.
Uklękła i prosi Boga,
I gorące szle westchnienie,
To do matki swojéj bieży.
«Choć z spowiedzi dziś wróciła,
Chociaż wzięła rozgrzeszenie,
Znów grzech ciężki w piersi leży:
Ona matkę zasmuciła!

«Matka leży — matka chora.
Chorowała do wieczora.
A Aniela nie przestała
Ciężko boleć, płakać, szlochać.
Ona biedna nie wiedziała,
Że to ciężki jest grzech kochać!

«I smutna, zmieniona, blada,
Nad pościelą matki stoi,
W swe się serce zajrzeć boi —
Pod boleścią pierś upada!

«I noc przeszła tak bezsennie.
Mama spała — chwała Bogu!

«Jutro rano już na progu
Z więcéj życia i promiennie
Córkę swoję matka wita,
I o zdrowie jéj się pyta,
I że nie umrze, zapewnia.
I tak córkę tuli, garnie,
Tak się troszczy, tak rorzewnia.
Pamięć bolów przeszła marnie.»

Tutaj znowu brak w powieści;
Tylko wzmianka nawiasowa,
Że najczulsża matki mowa
Zamknęła się w takiéj treści:
— «Córko moja! tyś tak młoda!
Nie znasz świata ani ludzi.
Młodość ciebie twoja łudzi.
Któż ci lepszą radę poda,
Niżli matka, co dla ciebie
Poświęciła życie swoje,
I boleści, trudy, znoje?
I o jedno prosi w niebie,
Ach o jedno szczęście twoje!
I któż ciebie wtajemniczy
W życia twego zawód nowy?
Ach! świat taki jest zwodniczy!

Tak zwodnicze świata mowy!
Tak kłamane ma uczucia!
To świat kłamstwa i zepsucia,
Exaltacji i przesady!
Więc posłuchaj mojéj rady.
Każdy stan, wiek, urodzenie,
Każdy ma swe obowiązki,
Dla kobiéty ślubne związki
Dało w podział przeznaczenie
Imie żony, imie matki,
To najwyższe życia cele
Lecz mąż dobry, to cud rzadki!
A najczęściéj zwodziciele!
— Miłość, córko, wymysł płonny.
Jest to niby kwiatek wonny,
Który pachnie czas króciutki,
A zostawi same smutki!
Wzbudzi w świecie pośmiewisko:
Bo Idylle i Gesnery,
Wytchłe rzeczy, to chimery!
Bo znaczenié, i nazwisko,
I dostatek tylko znaczy.
Głupi, kto myśli inaczéj.
— Świat dziś głębszy, realniejszy,
Ma jaśniejszy pogląd rzeczy:
Bo się kształci ród człowieczy.

Kto bogatszy, kto świetniejszy,
Ten towarzystw jest koroną.
Tobie, córko, przeznaczono
Wyższe w świecie zająć szczeble.»

Tutaj ustęp zginął długi,
W którym matka opisała
W najkwiecistszym kolorycie
Najkwiecistsze stroje, cugi,
Najkwiecistsze w świecie meble,
Najkwiecistsze w święcie życie!
A potém postać brabiego Fioli
W tak piękne ubrała kwiaty,
I do serca córki w swaty
Tak piękne posłała słowa,
Że Aniela już gotowa
Była wierzyć, że Fioli
Jest najpewniéj Jordan drugi.
I z pewnością nikt już nie wie,
Czy w jéj sercu bezkrólewie,
Czy królują konie, cugi!
Chociaż dobrze obu znała,
Choć jednego z nich kochała,
Choć wiedziała, że Fioli
Jest tak głupi, jak dzwon próżny!

To nas, wyznam, wszakże boli,
Że poeta został dłużny
Rozwinięcie téj zagadki!

Tylko jeszcze traktat matki,
Gdzie psychiczna część małżeństwa:
Podług prawdy podobieństwa,
Traktat ślicznie rozwinięty
Dla małżeństwa nowicjatek,
Co ślub wzięły z woli matek,
A do mężów czują wstręty:

,,Kiedy wstrętu nie pokona
Przez sakrament nowa żona;
Nim się z czasem przyzwyczai
Do tych czarów, które tai
Małżeńskiego urok łoża;
Nim zespoli w uniesieniach
Zywy udział i podzieli
W sympatycznych tchnień płomieniach —
Wyobraźnią niech wystrzeli
W świat, gdzie serce panowało
Uwieńczone uczuć wiankiem;
Nięch się zleje tam z kochankiem,
A mężowi odda ciało!

Niechaj na to będzie baczną:
Gdy pominie mądre środki,

Będzie dla męża niesmaczną,
A po świecie pójdą plotki!»

O, jak wszystkie węzły święte
Człowiek dziwnie spodlić umié!
Niech się śmieją nikczemnicy,
Niechaj płacze, kto zrozumié:
Bo ta prawda upomina,
Że narodu treść, początek,
Jak szczep wielki z dźbła i z rostka,
Są zamknięte w każdéj parze,
Jako w tysiącach secina,
Jako w secinie dziesiątek,
Jako w dziesiątku jednostka!
Że przed ludzkości ołtarze
Klęknąć mają wszystkie pary!
I że w ilu par miljonie
Żyje święta i miłości,
Tyle żyje święta w łonie
I narodu i ludzkości!

A kto swoje serce przeda
Dla widoków lub pieniędzy,
Został uczuć tandeciarzem,
Ten w bogatéj żyje nędzy,

Ten duchowym jest Łazarzem,
Co pierś swoję dał na zgnicie!
Co się wyparł Boga w sobie!
W najpodlejszym złożon grobie,
W złotym grobie podle stęka.
O! nie przyjdzie Pańska ręka
Upodlone wskrzesić życie!

Bo co w trumnie egoizmu
Raz złożone, nie powstanie.
Śród spodlenia heroizmu,
Wszystkie dzieci takich związków,
Jak robactwo w gnojnéj ranie,
Toczą łono społeczności!
Stoczą prawo obowiązków!
Ach! bo w grzechu są poczęte,
Bo są dziećmi przedajności!
Gdzie stargane węzły święte!

I wy nędzni mowić chcecie,
W piersi miłość że żywicie —
W nienawiści wzięte życie,
Wy ostatni brud na świecie!
Jakąż dacie cnót rękojmię?
Kto najczystszą część istoty
Swojéj przedał, pojmież cnoty?

Ten przedajnik miłość pojmie?
Jakąż miłość? świata! ludu!
Komedjanci, głupiuteńcy —
O! przepraszam — lecz żal trudu,
I nie powiem nic już więcéj.
Niech domówią reszty dzieje,
Skąd są zdrajcy i złodzieje?...

Tu widocznie był poeta
W paroksyzmie swéj warjacyi;
Lecz co do mnie, nie miał racji
Na co tyle budzić krzyków!

Jeszcze dodał w swém szaleństwie:
Może temu nie wierzycie,
Jak robactwo lęgnie w trupie?
Nie wierzycie, to spójrzycie
Na tych panów przedajników
I na pańskie dzieci...... (2).

«Gdzie nie wyschły uczuć zdroje,
Bracia moi, siostry moje,
Którym jeszcze nie zdołano
Zabić serca pozlacaną

Kłamstw mamoną i próżnością,
Zapytajcie ze szczérością
Starszych siostr swych i rówiennic,
Tych zmienników i tych zmiennic,
Co kupili piekło w domu!
W których piersi pokryjomu
Bolą serca tajemnice —
Gdzie sakrament obrażony —
To nie męże, to nie żony,
Ale to są nałożnice!

To salonów cudne czary,
Piękne sale i kinkiety,
Adamaszki i parkiety,
I cudowne buduary,
Kandelabry — złoto — złoto
Ale w piersiach — błoto — błoto!

To niepięknie, to niegrzecznie,
Grubijaństwo takie słowa;
Lecz raz jeden musiał Sowa,
Ten ptak nocy, piać niegrzecznie.

Ja sowa jestem, ja latam w ciemności;
Lecz, gdy dzień wzejdzie, ja schowam się w cienie,

Zostawię życie ptakom jasności,
I głos mój stłumię, aby sowy pienie
Nie przerażało pienia jasnych ptaków,
Lepszych od Sowy, choć Sowy rodaków.

Ach umarli i warjaci
Wspólnie życie pogrzebali;
Lecz z tych, którzy pozostali.
Niech im każdy swój dług spłaci:
Bo umarłych wola święta!

Jeszcze króciutkie fragmenta,
Choć ich zdania nie podzielam.
Że muszę wyrzec, więc się ośmielam.
To przedśmiertne słowa Sowy,
W których obraz salonowy:

* * *

Snuje się pełno postaci strojonych,
Na wzór osóbek modnego żurnalu;
Lecz tylko sztuką krawieckiego kroju
Są modni, nowi; a czasów minionych
I wytchłych dawno pożyczyli stroju
Na ubior głów swych. Nie można bez żalu

Patrzeć na nędzę ich serca i głowy!
O, jaki biédny nasz świat salonowy!
Na świecie nowym jest on tém, czém wiosną
Dachy zbutwiałe, kiedy mchem porosną!

Ludzkość się wiecznie jak wiosna odradza:
A każde pokolenie, każdy wiek zasadza
Świéżą latorośl do ludzkiego łona,
Jak rolnik ziarno. Szarańcza nasiona
Napadnie, zniszczy, i wydrze plon ziemi.
I jeśli rolnik gadu nie wypleni,
Spocznij spokojnie! — gdy jesień nadbieży,
Szarańcza czuwa i zasiewy zbierze!

A wyż to przecie, wy w środki bogaci,
Powinnibyście w duchowéj krainie
Zamieszkać, wzrastać w umysłu dziedzinie,
I krzepić wzrost i siły ubogich swych braci!
I cóż stąd, żeście wy bardziéj pieniężni,
Gdyście słabi umysłem, mali, niedołężni?
Wy wierzycie w materją, bo nie macie ducha;
I pierś, jak kufer, sztabą zamknęliście twardą.
Wszystko, co jest szlachetne, wita was z pogardą;
Tylko podłość płaszcząca w próżność waszą dmucha.
Lecz taż zgraja, co przy was wzrośnie na kradzieży,
Jutro wam, mniéj pieniężnym, pogardę wymierzy —

Waszą barwę i postać wdzieją nowicjusze,
Aby świat ich nie poznał, że to parwenjusze!

Tu już koniec jest fragmentu.
Chwała Bogu! Wyznam szczerze,
Choć przyjaciel jestem Sowy,
Lecz się cieszę z tego mętu,
Który wpłynał mu do głowy
I ją zwichnął: bo nie wierzę,
Ani dzielę Sowich zdań,
Aby tyle pieknych Pań,
Tylu grzecznych, obiéj płci,
Byli tak wytchli i źli!
Bo czyż dowód złości, tchlizny,
Te frazesa francuzczyzny!
To rzecz strasznie oklepana,
O któréj bębnią odwiecznie;
Przedmiot śmiechu warty, błahy.
. . . .
. . . .
Język własny nie ma sprzeczki;
Jest cóś gruby, nakształt sieczki!
Ani uczuć namiętniejszych,
Ani myśli, ni piękniejszych
Słów grzeczności, tak się skupi,
A szczególniéj, gdy kto głupi!

Na toż przecię wychowanie,
Żeby można skryć starannie
Natury małe schybienia!

Wieszcz nasz nie wiedział niestety,
Że tajniki toalety . . . .
Zbyt liczne mają odcienia . . . . .

Słowa francuzkie, to tęcze,
Gra farb na tłach allegorji!
A *żurnale* i *obręcze* . . . .
To własność *polnéj cykorji.*
Piękne kwiaty! — lecz niestety!
Dmuchniesz — zostaną skielety!

To nie sztuka, nie ułuda,
To kultury tylko cuda!

Duch ludzkości upiękniony,
I w najświéższéj barwie świeci.
Najwonniejsze wieku dzieci,
Wiwat! niech żyją salony!

* * *

Jaka to szkoda, gdy ojciec rodziny
Ziemię poświęci, i węgielny kamień
Swoją ręką położy, i ściany zbuduje,
I dach pokryje, wywiedzie kominy,
I tak się myślą wesołą raduje,
Że tam zamieszka —
Lecz los powie: zamień
Twe wesołe nadzieję w małą garść popiołu —
Dóm spłonął — lecz została Fenixu nadzieja!

Tak było w myślach poety.
Był pożar straszny i była zawieja.
Ogień i wicher zagroziły czołu.
Biedny! zwarjował niestety!

I zgubił w myślach nić swojéj powieści.
Jakieś odłamy pozostały treści.
Końca z pewnością nikt nie wie.

Lecz w jakimś lasku, na brzozowém drzewie,
Mówią, znaleźli wyryte imiona
I Prota, i przyjaciół, przed drogą daleką;
I mówią, że pod brzozą zasiano nasiona
Nieśmiertelników, lilji, niezabudki;
Że wzrosły bujnie — bo grzędę łez rzeką
Urodzajną zlewano — i żyźniły smutki!

III.

Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, nauczy was wszelkiéj prawdy: Bo nie sam od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszy, mówić będzie; i co przyjść ma, oznajmi wam.

Ewang. według Ś. Jana. XVI, 13.

Noc miesięczna, majowa. Wierzchołek urwistéj góry. Za górą smętarz, daléj kaplica.

JORDAN.

O, przestrzeń niezmierzoną otchłani bezdennych
W krótkich młodości przeżyłem godzinach!
Ach! i w tak zbudowanych mych pałacach sennych
Ocknąłem się, ażebym przejrzał się w ruinach!

Ach trzebaż było, w młodości rozkwicie,
Kędy przyszłością tak serce ciężarne,
Trzebaż ją spotkać, pokochać nad życie,
I trzebaż było spotkać serce marne!

I na cóż ona taka była mała......
I na cóż brała ducha mego szaty!
Na cóż się tak stroiła w uczuć moich kwiaty!
I na cóż się nieszczęsna innemu przedała!

(*Pauza*).

I trzebaż było w przyjaźni objęciach
Wyuczyć się smutnego uczucia litości!
I trzebaż było w młodzieńczych pojęciach
Ujrzeć starość szyderczą na pogrzeb młodości!

(*Pauza*).

Lecz nie! — na wieki jam zrzucił kajdany,
Które ludziom narzuca smutne doświadczenie;
I przyłożyłem do serdecznéj rany
Ofiarnika Golgoty — Boskie przebaczenie!

Czyż młodość ducha doświadczenie ściera?
Wszakże on wiecznie młody, jak Bóg wiekuisty!
O, tylko samolubstwo młodość nam odbiera,
Tylko duch stary w piersiach egoisty!

O jakże stara pierś ludów dzisiejszych!
Czyż idą do zaguby, czy do chwil piękniejszych?

(*Staje u wierzchołka góry, nad przepaścią, gdzie u podnoża smętarz i kaplica*).

Umarli! tu śród waszéj obszérnéj stolicy
Ja samotny, żyjący na przeszłości tronie,
Z całą życia boleścią, zamkniętą w mém łonie —
Przeszłości panorama świeci méj źrenicy!

Życia tchnień wielkich chwytam mym oddechem,
I serca wielkie bicia dziś dzielę z grobami;

Waszego szczęścia upajam się echem,
I nad waszą spuścizną zalewam się łzami!

O, gorzka pozostała po was dań żywota!
Smutny posag dziedzictwa — została sromota
Wspomnień szczęścia zbiegłego, obecnéj niedoli,
I pamięć cnót i grzechów — stąd i serce boli.

Lecz duch szczęścia zbiegłego powstał ze smętarzy,
Szukał serc niezbrudzonych, niespodlonych twarzy,
I uściski serdeczne na dusze zarzucił,
Płakał, i jęczał żalem, i pieśń wielką nócił —

Pieśń wielkości, żałoby; wszystkie ducha strony
Zlał w jeden akord, i jakby w tonów całuny
Swojéj pieśni pogrzebnéj nam piersi obleka —
Pierś w czyśćca cień złożona wybawienia czeka!

Patrzę dziś w dzieje — człowieczeństwa słowo
Dziwnie rozdarte na jąkań syllaby!
Świat zająkliwy? lub czyli zasłaby,
By zdołał odrodzenia wdziać szatę godową!

O święte dzieje wielkich chwil tych ludów,
Gdzie pierś człowiecza, jako Boża księga,

Odbiła dzieje wszechmocnością cudów,
Gdzie Bóg i ludzkość jeden łańcuch sprzęga!

O czyliż człowiek w okropnym rozejmie
Boga w swéj piersi już żywić nie zdoła,
Aż Bóg mu obraz swéj Boskości zdejmie,
I strąci jego, jak strącił anioła?

(*Usiada nad urwiskiem*).

Pozłacane prawdy słowo
Wzięli w usta — i daremnie:
Bo nie z serca — w sercu, ciemnie,
Nad głowami źle, grobowo!
I chrzest wzięli, krzyża znamię,
Krew i żywot — męki Pańskie,
I obrzędy chrześcijańskie!
Ale głos ich sercom kłamie!

Umęczony Bóg na krzyżu
Powstał oczom na obrazku
Z farb, i z drzewa, i ze śpiżu;
Lecz samotny jest na krzyżu
I samotny w cnót odblasku!

Powstał z grobu, umęczony,
I króluje tam, na niebie!
Lecz w człowieka Bóg wcielony,

A on Boga w sobie grzebie
I na niecnot krzyżu męczy!

Z znamionami chrztu, poganie!
Kiedyż w piersiach waszych wstanie,
Jak wstał z grobu, i uwieńczy
Życie wasze tą błogością,
I tém szczęściem, dla którego
Bóg żył, umarł, z tą miłością,
Co przekazał dla bliźniego?

Wstańcie, wstańcie, jasne zorze,
Zapadłe w piersi głąb' ciemną!
Myśli Boża! zstąp nade mną!
Niech dnia bramę ja otworzę,
A zaświta dzień jasności,
I z ich piersi mroki spadną,
Przejrzą światło, i odgadną
Jedno szczęście swe w miłości.

Duch zły (*zjawia się*).

Czego ty żądasz? Jam jest ziemi władźcą,
Zdajesz się przyjacielem być ludzi i ziemi —
To bardzo pięknie. Ja ci zostanę doradźcą.
W nagrodę wesprę radami mojemi.
Ale, jak widzę, jesteś na złéj drodze —

JORDAN.

Jam rad się kształcić, rad złego odchodzę.

ZŁY DUCH.

Chwalebna bardzo jest taka gotowość.
To daje myślom i czuciom poprawność.
Warteś słów moich; więc w zakład przyjaźni
Dowiedz się, że w twych myślach jest wielka jałowość.
Twoich celów i dążeń zaszła ziemska dawność.
Chcesz pić z pustéj oddawna czary wyobraźni,
Ty chcesz miłością świat cały zespoić,
Chcesz go uzdrowić, nakarmić, napoić;
A przecięż to dziejowych już jest prawd produkcją,
Że nie jedne miłością zapierzchły się usta,
Że miłość w sercach obudza obstrukcją;
Nakoniec różne są na świecie gusta,
I każdy zjada podług apetytu,
A o to chodzi, by podjadł do sytu!
Tyle straw innych, które serce żywią!
Trzeba się kuchennego wyrzec fanatyzmu,
Sądzić rozsądnie, bez obskurantyzmu,
A wszyscy ludzie wnet się uszczęśliwią!
Wy chcecie tylko prawdę w starym znać mundurze.
Już się mundur ten podarł na Golgoty górze (3).
Już Słowo, które przyszło i stało się ciałem,
Powieszone oddawna — ja sam pomagałem.

Już niéma Słowa ciała; tylko krzyż widzicie;
Lecz i on pada — patrz, na krzyża szczycie
Struś siedzi i swym dziobem dziobie bez litości,
Tuż przy Strusiu Chłop dzielnie siekierą go wali;
A tuż Ognisty Strumień z podstawą go pali. (4)
Przestańcież głupcy wierzyć! bo pęknę ze złości!
Bóg żyje tylko w duchu najświéższéj ludzkości.

Chór Duchów najświéższych
(obwiany eterem i wonią).

W naszych piersiach Pan Bóg mieszka,
I odkryta szczęścia ścieżka.
W piersiach naszych niebo mamy,
Śpiewamy, tańczym i gramy!

O, nam dosyć rękawiczek
Glazowanych, mankiecików,
Wieczorynek — i twarzyczek.
Przy szeleście ich trzewików,
Śród migotu białych ząbków,
Śród błyskawic jasnych oczek,
Śród wiejących sukien rąbków,
Życie całe jak obłoczek
Na wóskowéj płynie sali!

Kędy świateł błysł promyczek,
Do Edenu! do Walhalli!

I mamy mały słowniczek

Grzecznych pachnących słów treści,
Ile mała główka zmieści.

To tak białe ząbki bawi!
Wzrok w uśmiechach ich się pławi,
Rozpostrzenia się w głąb' łona.
Wszystko cieszy, wszystko dziwi.
I my żyjem tak szczęśliwi:
Bo ludzkości my korona!

ZŁY DUCH.

O! to życie boskie! cudne!
Lecz wam przestroga jest dana za gońca,
Że ten tylko zbawiony, kto wytrwa do końca.
Inaczéj życie i smutne i nudne.
Trzeba się będzie zmienić w mizantropa,
I rozrywką jedyną będzie: dusić chłopa!

CHÓR DUCHÓW STARSZYCH

(*téj saméj natury, oblanych eterem i wonią*).

Myśmy życie przetańczyli,
I przegrali, i przepili;
I nie możem złapać wątków
Szczęścia, co nam rychło pierzchło.
Mamy niestrawność żołądków,
I tak w oczach wszystko zmierzchło —
Nic nie czujem! nic nie widzim!
Aż się samych siebie wstydzim!

Zły Duch.

Lecz wam przestroga już dana za gońca,
Że ten tylko zbawiony, kto wytrwa do końca.
Wszakże ja tyle tylko rozumu wam dałem,
Ile się mogło zmieścić w waszéj małéj główce.
Wy go jak grosz żdatkowy trzymacie w gotówce,
I chcecie Rotszyldami być z tym kapitałem!

Widmo obrzydliwych form.

Ach! jam tak podły! każda myśl ma chora!
Nim się urodzi, już w zarodku zgniła.
A czaszka moja, to myśli mogiła.
W ustach mych zgniłe są tchnienia upiora!
Bo słowo moje z mém sercem zamarło,
Łzy z moich oczu spodlenie otarło!

Jam duch strącony tych wesołych twarzy,
Których rdzeń życia w ich okrągłych brzuchach.
My szydzim z wiary, z nadziei ołtarzy;
Skomlim wesoło, jak psy na łańcuchach!
Każda myśl lepsza, ten złodziéj pokoju,
Każde uczucie, które się wylęga
Z tęsknoty, bolu, zapału, nadziei,
Jest wrogiem naszym! i grot je nasz sięga!
My, jak ząb węża, lub nakształt ós roju,
Lub jak ogary rozpuszczone w kniei,
Szczwamy, polujem to źwierzę nadziei,

To źwierzę uczuć i źwierzę myślenia!
Potęgą naszą, potęga spodlenia;
A złoto, szczeblem naszego znaczenia!

Dzień jeszcze cały wesoło nam płynie:
Bo ducha topim w buchaljach i winie!
Lecz gdy dzień minie, o! w północnéj porze
Z obrzydłém cielskiem nie chcąc łoża dzielić,
Lecę czarem szczęśliwszych wspomnień się weselić—
I znowu wracać muszę w brudne ciała łoże.

JORDAN.

Czyż duch twój wolnym nie może już zostać?

WIDMO.

Tajemnym sądom Bożym nie zdoła nikt sprostać.
Straszne! lecz sprawiedliwe!
Rozjaśń przeszłości pochodnię —
Ujrzysz widomie wszystkie nasze zbrodnie,
Dla których i Bóg nie da rozgrzeszenia,
Aż się cnotą wykupią w przetopach cierpienia!

JORDAN.

Jakie widmo okropne!

ZŁY DUCH

To piękna figura!
Ale ich jeszcze spłynie cała chmura!

Drugie Widmo (*rubinowego koloru*).

Ja piłem ciągle wyborne wina,
Bo były smaczne i w modzie;
I piłem codzień blisko tuzina.
Potém musiałem przestać na wodzie.
Nie mogąc przeżyć moralnego bolu,
Napiłem się witryolu! —

Zły Duch.

Wszak była rada dana za gońca,
Że ten tylko zbawiony, kto wytrwa do końca!

Widmo trzecie.

Ja byłem człowiek rozsądny;
Ceniąc sam władzę, umiałem jéj użyć;
I nie robiłem żadnych nadużyć;
I byłem tylko tak jak każdy rżądny;
Nigdy nie byłem tyranem,
I zawsze z pewnym karałem planem.

Choć o zabójstwo oskarżał głos gminny,
Lecz nie jedno mi śledztwo
Posłuży za świadectwo,
Że byłem niewinny!

Pjaństwo, hultajstwo chciałem pokonać;
Chciałem, by chłopstwo miało też chleb,
Tymczasem jeden jak palnął mię w łeb,
Nie chcąc pod kijem musiałem skonać.

Zły Duch.

To było proste chłopskie grubijaństwo.
Trzeba to przyznać wychowaniu złemu:
Bo kij do czoła przykładać bliźniemu,
Iżby miał skonać. wzbrania chrześcijaństwo,
Co nakazuje dobrém za zło płatę.

Widmo nowe.

Ja też to właśnie, chcąc szérzyć oświatę
Miałem potrzebę imienia;
Jam literacką chciał robić karjerę.
Lecz szło wszystko jak z kamienia!

Ja traciłem młodość, cerę;
Jam mozolił moję głowę,
Pisał książki tandetowe,
I niemałom zniosł katuszy;
Sięgał po wieńce laurowe,
A dostałem ośle uszy!

Omałom był nie zawitał
Aż na Parnas! — cios fatalny!
Jakiś warjat mię zapytał:
Jaki pism twych *sens moralny?*

Mimo moje chwalce liczne,
Po których się na szczyt darłem,
To pytanie satyryczne
Zabiło mię — i umarłem!

Zły Duch.

O! jaki biedak! Żal mi każdego pisarza,
Czyją skroń zamiast laurów cóś innego wieńczy!
Lecz to wszystko zależy wprost od kałamarza,
Co siedzi w więzach żebrowych obręczy,
A ma swój korek pod sklepieniem czaszki.
I każdy pisarz podobny do flaszki.
Lecz każdyż z flaszą swą zrobić jest w stanie
To, co w RzymieTwardowski? lub co Chrystus w Kanie!

O! tacy mistrze, co te robią cudy,
Ich papier jest historja, a ich zgłoski, ludy —
Choć się zgadzam z Frydrykiem. że wielcy pisarze
Trzymają większe berła, niż świata mocarze!

Lecz to w djablém sumieniu wznieca nawet burzę.
Dobryby wynalazek był i dla szatana
Ten homeopatyczny system Hanemana,
Co tak dziwnie panuje dziś w literaturze,
Gdzie z drobniuchnéj prószynki mozgowéj essencji
Robią solucją aż setnéj potencji!
Zamknięte w małym mozgu malutkie atomy
Solwują w atramencie w niezliczone tomy!
A sawanci! sawantki, wszystko wypić muszą!
Dzisiejsi literaci cały świat zaduszą!
A cóż my będziem robić? Złość mię bierze wściekła!
Wszystkich tych mości panów zaproszę do piekła!

Bo straszna pycha! małe flakoniki
Chcą, by im wielkie stawiano pomniki!

Djabeł (*niby się ocykając, z łagodnym uśmiechem*).

Dobrzy ludzie! ja radzę, szczérze się poprawcie,
Nie czytajcie ni myślcie — nam tę rzecz zostawcie!

Jordan.

Zły duchu!

Zły Duch (*przerywając z dobrotliwą ironją*).

Chcesz kląć? — Bądź wyrozumiałym!
Mam i ja swe słabości. Dzisiaj sercem całém
Chcę się tobie otworzyć. Przed niejednym wiekiem,
Tak jak wy wszyscy, ja byłem człowiekiem;
Lecz zostałem strącony, tak jak wy dziś wszyscy;
I więcéj niż sądzicie dziś z sobąśmy bliscy!
My już dziś nie jesteśmy te djabły z rogami,
Co u was w tradycyjnéj dotąd tkwią pamięci,
Ani tak obrzydliwi, ani tak zawzięci —
O! my pierś naszą karmim waszemi piersiami!

Samolubstwa waszego otwartemi wroty
Wchodzim do piersi waszéj, i stajem u progu,
I zabieramy te liche pół-cnoty,
Która się nie zda ni światu ni Bogu;
I zabieramy liche pół-miłości:
Oprawę egoizmu sztucznie pozłacaną,
Pod którym duszę widzimy miedzianą.

To najsmaczniejsze są nasze słodkości,
To najsłodsze jagody z egoizmu drzewa!

Ileż nam jagód najsłodszych dojrzewa!
Ach w każdém waszem kłamaném uczuciu,
Ach czyż jedną niewinność na ołtarz zepsuciu
Poświęcacie, by sobie roskosz przysposobić?!
Cóż piękniejszego mogą djabli robić?

Tylko sumienie poszlijcie swe w zwiady,
A w piersiach waszych tyle znajdziecie szkarady,
Że w nich tyle co w piekle jest djabłom biesiady.

(*Przyjmując grzeczne salonowe formy*).

Może jestem *à charge?* widząc, żeś znużony,
Nie chcę być *mauvais genre.* Zwiedzałem salony—
Umiém być grzecznym, *et par consequent*
Żegnam cię! — A widzisz, żem *très complaisant!*

(*Znika*).

(Jordan *w najwyższém wysileniu pada nad brzegiem urwiska góry*).

Chór Duchów.

Do piersi w bolów zawiei
Trzeba wlać kielich rospaczy
I zamknąć bramę nadziei —
Wstanie i będzie myślał inaczéj!

W myśli jego wlać zwątpienie,
I w zmysłów wykąpać puchu,

I duchowych mar sklepienie
W zmysłów uwięzić łańcuchu.

To jeden z ziemskich tytanów
Duchowe rozdyma żagle.
Trzeba jego zdusić nagle,
Aby nie szydził z szatanów.

CHÓR DRUGI.

Przez męczeństwo i ofiary
Na świętéj górze Kalwarji,
Przez boleści Świętéj Marji,
I przez święte Ducha dary,
I przez łaskę świętą Pana
U miłosierdzia podwoi,
Niechaj serca ciężka rana
W balsamicznym ducha zdroju
Ciężkie boleści ukoi;
I niech w duchowym pokoju
Nad smutków i łez żałobą
Płynie przeznaczeń swych szlakiem;
Niechaj zawsze będzie sobą,
Zawsze niebieskim rodakiem!

DUCH KOBIÉTY.

Jak leciałam, tak i lecę,
W nieprzejrzaną lecę stronę.

Na tonącéj w łzach powiece
Niosłam serce zakrwawione!

I w gonitwach tak bolesnych
Odgłos jęków w ucho dzwonił,
Z bolów serca i cielesnych
Umęczoną głowę skłonił!...

O! nie patrzcie! zda się, w łonie
Niéma serca, tylko rana!
To ból, ach ból siadł na tronie!
Urząd króla i kapłana
Spełnia razem w mojém łonie!

O, królewska i kapłańska
Przenajświęciéj zespolona
Boleść święta -- chrześcijańska,
I krwią świętą namaszczona!

Ach jak z burzy, ach jak z gromów
Dzionek letni się wylęga;
Jak wszechmocnych sił potęga
Zlewa w światy pył atomów;

O tak z burzy, tak z boleści
W mojém sercu, tak jak w wiośnie,
Cudny dzionek w sercu rośnie!
Słowik ducha go obwieści!

Anioł - Stróż.

Straszne przeszłości cięźą nad nią grzechy!
Ale straszniejsze ciężyły nad światem!
Lecz z wysokości Syn Boży na ziemię
Zstąpił, człowieka aby został bratem,
I tonące ludzkości w ciężkich grzechach plemie
Z piekielnéj wywołał strzechy!
I wyuczył ofiary i drogi zbawienia,
I wyuczył sił ducha, i wyuczył cudu!
Trudna nauka! — bezbożni się śmieli —
Lecz mądrość Boska w czyją pierś się wcieli,
Pierś zabrzmi słowem, i stanie śród ludu,
I cud się stanie: przeniosą się góry,
Rzeki zmienią koryta, słońca wstaną z chmury.
Słońce ducha pierś rozmroczy,
Ku zbawieniu przejrzą oczy!
Bo wśród grzechów największych, wśród twojego grona,
Więcéj jak jeden Noe, przy korabiu cnoty,
Dźwigał arkę, męczeńsko tuląc ją do łona,
I unosił duch braci nad zgubne potopy!

Patron Ziemi.

Duchy przeczyste wzleciały śród kraju,
Choć w piersi kraju jeszcze nędza wielka;
Boskiéj przyszłości obwiały kraj tchnieniem —
I z łona ducha rosy spłynęła kropelka!

I kraj, szczęśliwy wróżbą urodzaju,
Roztworzył pierś swą, i uczucia pory
Ku niebieskim żywiącym pokarmom otworzył.
Duch przeszłości zaklęty w sercu braci ożył,
I stanął oczyszczony w sukience pokory,

Bóg zna dzieje każdego kwiatu i robaka—
To Jego dzieci — lecz Jego i ludy.
Wśród dziejów ludów, zna przeszłość.... ot taka!....
Zna grzechów brzemie, zna i męczeństw trudy!

Już błysła zorza w nowém ducha słowie,
Już noc zapada w otchłani bezdennéj—
On leży z męczeństw cierniami na głowie,
Ze snu podźwignąć nie śmie głowy sennéj!
Świt ranka jego nie budzi z pościeli.
Choć śpi długo, sen jeszcze jawę jemu tai.
Gdy pierś jego rozkwitnie, on jawą wystrzeli,
I byt czuciem i myślą i czynem umai!

JORDAN (*przebudzając się*).

Duchu jasności! świętego promienia
Daj myśli mojéj, niech rozetlę w łonie;
Użycz mym oczom jasnego spójrzenia,
Niech wzrok mój w szlaki przyszłości utonie;
Niech ma pierś piosnkę odgadnie zbawienia!

Niczegom nie chciał, z dni moich poranku,
Ze wszystkich skarbów na życia dziedzinie,
Tylko piosenki téj chciałem jedynie,
Chciał sięm wyuczyć i piać bez ustanku,
I z pieśnią moją zlać życie me w czynie.

Kiedy pierś moja westchnęła ku Bogu,
I Bóg méj piersi z Bogiem na niebiosach
Złączył się w myśli o ludzkości losach,
O, zbolały okropnie stanąłem na progu
Kolebki mojéj i chwili dzisiejszéj,
I drugiéj w życiu nie miałem piękniéjszéj!
I poznałem bol piękny na Oliwnéj górze!
O, i byłem szczęśliwy w boleści torturze!
I płakałem z roskoszą, ach bo mi się zdało,
Że łzy moje, to potop; że za wszystkich płaczę;
Że w łzach utopię to życie tułacze!
Swoje i braci, które tak spodlało!
I wszystkie grzechy w młodości zaraniu
Wylęgłe w błędzie i w złém wychowaniu,
I swoje, i narodu, utopię w głębiny;
I że na Araratu duchowe wyżyny
Uniosę wszystko, co z Boskiéj dziedziny
Zostało czyste w łona głębokości.
I w przeświadczeniu ludzkości sumienia;

I gorycz z pożytego drzewa wiadomości
Odkwitnie w nowéj odrośli zbawienia!

Patron Jordana.

Stań przed natury rozległą widownią,
Z prószyn ziemskości obmyj duszy oko,
Popatrz bezdennie, w głębiny, wysoko,
A weźmiesz duchem natury warownią;
Tajnie, jak morze z pod Mojżesza laski,
Rozstąpią: bo w twym duchu są Boga odblaski;
Oczyść się tylko, wykąp się w pokorze,
Słonecznym blaskiem wystrzelisz w przestworze!

Patrz na ten ruch bez końca, co w natury łonie;
Ten bieg i ten niepokój, co nie ma spoczynku
Ni w nocy ni we dnie!
Prędzéj niż tkacza czółenko
Nić widomego żywota
Z brzegu przebiega do brzegu,
Z życia kolebki do trumny!
Lecz bieg jéj bezbrzeżny,
Ledwo poczęty, ku końcowi bieży,
I końca, kresu znaleść nie może:
Bo ów kres i ów koniec,
Jest to tylko nowy goniec
Nowego końca i kresu, co będzie!

Patrz — wód potoki lecą bez końca do morza;
Morza przepełnić nie mogą:
Bo znowu idą skąd przyszły tąż drogą,
Idą powrócić do swojego łoża!

Patrzaj — zdroje żyjących na mogiły płyną;
Mogił przepełnić nie mogą.
Choć strumień śmierci bieży i bieży,
I pędzi w wieczność, nowe życia wpłyną,
Znowu wracając do życia wybrzeży!

Słyszysz starca-łabędzia przedśmiertne pień słowo:
Ach! wszystko próżne! znikome!
Pełne boleści i krwawego znoju!—
Lecz gdy w młodości znów odżyje zdroju,
Znowu przez życia leci ścieżki strome,
Nim znowu zmordowany nie zaśnie nanowo,
By powtórzyć przedśmiertne znikomości słowo!

Lecz w téj bezdni przechodu widomego świata,
Bez téj osi, na któréj swoje biegi toczy,
Bez téj władzy, co wszystkie sił kręgi jednoczy,
Jako słońce dzierżące ster planet swych biegu,
Mogłożby bez spoczynku, wytchnienia, noclegu,
Wszystko się kręcić w pozorze bezładu,
Pośród życia roskoszy, i boleści jadu,

I śród ludzkich ziemskich złości,
Śród tych urągań i niebu i światu?
Mogłożby tak trwać wszystko na łonie ziemskości
Bez wielkiéj, świętéj przystani Sabatu?

Lecz gdzież ta przystań, wypoczynek święty,
W widomych światów obszarze?
Gdzież téj świątyni ogień i ołtarze,
Gdzie mają spocząć stworzenia odmęty?
Gdzież on? W świata widomego ruchu,
Wtém przejściu przejść bez końca, w wiecznym wirze
przemian,
Niémaż ciszy Sabatu dla ziemi i ziemian?
Jest! Bóg w człowieka uświęcił go duchu.

Patrz — o, cała natura zda się na cóś czeka.
Ziemia swą pierś wydęła, by w wielkiém westchnieniu
Alpejskich szczytów w niebo się podniosła,
Jakby tęsknicą pod niebo urosła!
Ale tylko duch człowieka,
Po swoim Boskim promieniu
W łono się Boga zacieka,
W wieczności kąpie strumieniu!

Na rozdrożu dwóch światów, widomemu światu
W świętéj ducha harmonji jest święto Sabatu.

Wszystkie ruchy i waśnie cielesnych odmętów,

Rzucone w wiry cielesnéj otchłani,
Nakształt płynących po morzu okrętów,
W ducha głębinach ciszę znajdują przystani! (5)

Na rozdrożu dwóch światów tyś w wieczności kole
Elipsą sięgającą i nieba i ziemi
U nóg z ziemią zbratany, a bóstwo na czole!
Boleści ziemskie tu słowami czczemi.
Czczy głos dla ducha żałobny głos śpiżu.
Mękom cielesnym stoi duch na straży.
Człowiek okropnie męczony na krzyżu.
Uniósł ducha z uśmiechem pogody na twarzy!

Na cóż On przyjął cielesne cierpienie?
On tajemnicy wyuczył ofiary;
W poświęceniu się wszystkich jest wszystkich zbawienie,
I już nie męczeństw, lecz szczęścia sztandary!

Tak nam przez Niego pokazana droga.
Chór męczenników musiał ją krwią zrosić.
Lecz będzie człowiek podniesion do Boga!
Kto podniesion, ten musi tak innych podnosić.
(*Znika*).

Zły Duch

(*w postaci kobiéty pokazuje się w głębokościach przepaści*).

Przybiorę postać jego kochanki,
Słodkiemi oczy jemu się przymilę,

Przysięgnę miłość, włożę ślubne wianki,
I już się oprzeć nie będzie mi w sile,
Wydrę mu z serca zapomnienie siebie,
W samolubném uczuciu świat cały zagrzebię—
W sercu mu pamięć błogich chwil odżyje,
Skoczy po miłość, i tak złamie szyję!

(*Woła* Jordana, *przyjmując naprzemian barwy najponętniejszéj Kreolki, potém smutku i rospaczy*).

Jam tu—jam twoja—iść z tobą gotowa!

JORDAN

(*obwiany skrzydłem* Anioła Stróża).

O, w sercu mojém ty już jesteś wdowa!
Po twego serca pogrzebie
Ja nie pójdę szukać ciebie,
W przepaściste lecieć tonie.
Czy pierś żarem uczuć spłonie,
Czy czas żary te wystudzi
I śmiech smutny da mi w wianie,
Jeszcze zawsze mi zostanie,
Miłość moich bliźnich—ludzi!
Dla niewieścich cnót i wdzięków
Cześć zostanie w sercach prawych;
Lecz miłośnych łez i jęków
Bohaterów tkliwo-łzawych.
Na samobójstw złym kurhanie,
Niechaj, niechaj nie zostanie!

Z młodości jeszcze poranków
Tajnie tych bolów rozdarłem;
Śmierciami wszystkich kochanków
I bolałem i umarłem.
I z Gustawem się zabiłem;
I płakałem tkliwe dziécię;
Z jegom upiorem błąkał się po świecie.
Śmiech świata ogniów nie studził.
Ale go potém gorąco prosiłem,
By się znów nie zabijał i znów się nie budził!

Pył z pistoletów Wertera
Już dla mnie śmierci był hasłem,
Gdy dając dzieciom chleb z masłem,
Ona z nich pyły ociera—
I do Hernaniego szyi
Przywiązany jak psu dzwonek,
Co serdecznéj jady żmii
Miał zlać w hańbę lub postronek....
Wszystkie, wszystkiem przeżył bole,
W romantycznéj znane szkole!
I kochanków wszystkich skonem,
Biednéj Gretchen boleściami,
I Ofelji szaleństwami,
Umarłem w bolu szalonym!
Jaż mam dzisiaj, zmartwychwstały,

Przedrzeźniać śmierci mistrzowskie?
O, wszystkie te Platonowskie
Takie cudne ideały
W stokach brudnych Satyrjazy
Tak skąpano! i w obrazy
Eteryczne ustrojono!
I na stroje pożyczono
Wszystkich tajni estetycznych!

Bohatérów romantycznych
We krwi żarach rozpalali—
I przy serdecznych pochodniach
Uświęcali cnotę w zbrodniach!
Lecz na dzisiaj już zamąli
Wszystkie owe bohatéry,
Śród świtania nowéj ery!
A zostanie wiara święta,
Że nie będzie prawda tajna;
Że wszelka miłość przedajna
I kłamana jest przeklęta;
Ze doczeka ludzkość święta,
W którém kłamstwo, udawanie,
Dla cnót, Boga, i dla bliźnich,
Umrze raz w piersiach, i z nich
Wzrośnie Feniks — Zmartwychwstanie!

(*Postać kobiéty przemienia się w widmo, w którém twarz jéj jest ułożona w mozaikę różnego gatunku monety; pierś bry-*

lantowa; wszystkie członki z różnych drogich kamieni. JORDAN *kładnie znak krzyża — widmo znika.* JORDAN *uklęka i modli się — z mogił przelatuje chór Duchów czystych nad głową* JORDANA).

1-SZY.

Zebrać siebie, stopić trzeba—
W wolnéj woli grom się skuj!
I dwa życia: ziemi, nieba,
Zléj w harmonji święty strój!

2-GI.

Jak niebieski ów Posłaniec,
Co dwa życia: ziemi, nieba,
W jeden Boski zlał kaganiec,
I wam wskazał, czém być trzeba—
Czém być trzeba — czém być można!

. . . .

On się wcielił w wasze ciało,
Przyjął serca bicie wasze,
Przyjął wszystko, co bolało;
Za przyjaciół miał Judasze;
Jednak słowo zmienił w ciało,
Boskie słowo w Boski czyn:
Bo prawdziwy Boży Syn!

3-CI.

Lecz prawdziwy i wasz brat!
Wszak tak wyrzekł — czyż nie wiécie?

I dla tego przyszedł w świat
Jak najmniejszy w całym świecie,
By różności ziemskie sprostać,
By najmniejszych bratem zostać!
W stajni, w żłobie, cieśli dziecię!
Ale w piersi Boże kwiecie
Przyniósł z sobą wielki brat,
By pokazać, jak je chować:
Trzeba w piersi pielęgnować—
Jakim cały ma być świat!

4ty.

Wy myślicie, że bluźnierstwo
Takie z Panem rówiennictwo?
Nędzne Pańskie jest żołnierstwo,
Gdy w to Jego posłannictwo
Ani wierzy, ani uczy;
Myśl tę zowie pychą, grzechem—
O! szatana wtenczas echem,
Który ziemskość ich wytuczy,
Natchnie chuci szatańskiemi.
Mierząc czyny jego z swemi,
Jakże wierzyć, uczyć mogą,
Gdy tak różną idą drogą!

Patron Ziemi.

Wielki bracie! duch ludzkości
Kornie zgina swe kolana

U stóp ducha! Daj kapłana,
Co nas ma wieść ku przyszłości!

Wy mówicie: ludzka stopa
Krokom Pańskim nie podoła:
Bo zmyć trudno pychę z czoła,
Trudno zostać bratem chłopa.

Różne chrześcjan udawanie.
Ja wam powiém — ach! bo muszę,
Że spodlone macie dusze,
Tylko słowy chrześcijanie!

Lepsi jeszcze między wami
Dzielą kieskę swą z chłopami,
Pamiętają o ich brzuchu,
Jak psu rzucą kawał chleba.
Lecz tak z braćmiż żyć potrzeba?
Trza się z niemi dzielić w duchu!

Bo prawdziwa w tém ofiara,
I dwa cele: nieba ziemi.
Tak będziecie szczęśliwemi,
Albo i tam i tu kara!

C h ó r.

Śpieszcie, śpieszcie do ofiary!
Lub panować będa kary!

Anioł - Stróż Jordana.

Gdy twe wszystkie święte chęci
Całą twoję pierś owioną,
Będą w sercu i pamięci
Twoim pługiem, twoją broną,
Życia ziarnem, bytu rdzenią,
I roskoszą twą, i kaźnią,
Twoją jawą, wyobraźnią,
I w snach twoich się rozplenią,
I rozwiną się w marzeniach,
I rozkwitną w uniesieniach,
I w rozwadze twéj dojrzeją,
I staną się twą nadzieją,
Twą światłością, która wpłynie
W wszystkie gwiazdy twego łona—
Na takiéj wejdą dziedzinie
Chęci, jak ziarna Jasona!
I gdy zgodny akord bytu,
Bolów, ofiar i zachwytu,
Zlejesz w jeden śpiew choralny
Uświęconéj tak idei—
Tak w niéj świętą ujrzysz czystość—
Wyjdziesz z piekieł — tryumfalny!
Wejdziesz w Boży dom — nadziei,
Co się zlewa w rzeczywistość!

Patron Ziemi.

Lecz żądz waszych przeskok prędki:
To zapałem pjani zmiennym,
To złudzeniem niby sennėm.
To nie *chęci*, ale *chętki!*
Niezamknięte w woli karby,
Niewcielone w życia rdzenie;
I strwonione wszystkie skarby—
Życie wasze, to *marzenie!*

I tak w sennych mar przegonie,
Co w widziadeł szkle rozbitém,
Mózg w widzeniu chorowitém
Wasze senne obwiał skronie.

Wyście senni, choć czuwacie,
I bezczynni, choć ruchawi;
Lecz was nie ruch, lecz czyn zbawi,
Czyn w duchowėj odzian szacie.

Duch Ludzkości.

Kto co zechce zdziałać może,
Ten jest *wielki!* bo rozmierzył
Chęci swoje z siłą w chórze,
I dokonał, w co uwierzył!

Wielki, tworzy to, co zechce;
Lecz gdy duma go rozłechce,
Wzgardzi cnoty on ołtarzem,
Będzie wielkim — lecz zbrodniarzem!

Mądrym jest, kto tylko tyle
Chce, co zdziałać w jego sile.

Lecz i wielkim, mądrym razem,
Jest, kto chce, *jak chcieć powinien;*
Z siłą bóstwa i obrazem,
Niebu, ziemi, da co winien!

Człeku! wielka twa potęga,
Gdy się władza twego ducha
W gromy wolnéj woli sprzęga!
I gdy święcie jéj usłucha,
Jak cud słucha Bożéj ręki,
Jako światło słucha słońca;
Gdy tak ziemskie duch odtrąca,
Jak noc strąca blask jutrzenki!

Gdy pierś *taką* zagrzmi wolą,
Gdy się chęci *tak* zespolą—
Ja chcę! — powiész ty do siebie,
A Bóg — stań się — powié w niebie!

Bo głos Boga i głos ludu
Zlewają się w jedno brzmienie.
Lecz ma Boskie być twe chcenie,
Kiedy pragniesz doznać cudu!—

KONIEC.

Przypisy.

1) *Upas.* Tak się nazywa drzewo rosnące w Indjach Wschodnich, znajome ze swéj jadowitéj własności. Długi czas wierzono w Europie w skutek pamiętników lekarza Forsch z 1783 r., że drzewo to, na kwadrans drogi dokoła, jadem swym powietrze zatruwa i wszystko zabija. Z soków tego drzewa krajowcy przygotowują truciznę do namaczania swych strzał, któremi zadane rany są nieuleczone.

2) Myliłby się, ktoby chciał sądzić, iż w tym ustępie autor tchnie wyobrażeniami jakiejkolwiek partji. Na czasy dzisiejsze byłaby to za wielka nędza. Lecz nędza moralna, a nakoniec ostateczny upadek rodzin—dziedziców wielkich imion i spadków, mają głębokie znaczenie w naturze zawieranych związków. Te zagadki już rozwiązała wyższa Medycyna na koniecznych prawach fizjologji.

3) Jest to alluzja do tych fermentacij wyobrażeń teologiczno-filozoficznych, szeroko dzisiaj w Europie rozlanych. Szczególniéj słowa te szydercze odnoszą się do tych, któ-

rzy utrzymują, iż idea chrześcjańska już siebie przeżyła i nie może odpowiedzieć dalszym warunkom rozwijania się ludzkości. Ciekawych czytelników odsyłamy do dzieł Straussa, Bruno Bauera, Feuerbacha, Schleiermachera, Neandra, Ulmana etc. etc. Zob. nadto ***Dictionnaire de Théologie*** par l'Abbé Bergier, 1842 r., artykuł; ***Abaissement***.

4) Strauss (Dawid Fryderyk), autor głośnego w Europie dzieła: „Życie Chrystusa" (Das Leben Jesu).

Około wyobrażeń Straussa grupują się imiona hołdujące jego pojęciom. Do tych należą między innymi: ***Feuerbach*** i ***Bruno Bauer***, którzy wszakże nie zdołali ustalić sobie téj popularności. Gruby materjalizm i dziki fanatyzm przeciw wszelkiéj religji, który cechuje ich pisma, obudzają uczucie wstrętu i litości w ludziach głębszego myślenia. Przytoczę słów kilka z Hermana Ulrici (Das Grundprincip der Philosophie, w Lipsku, 1845 r.): „Es ist indess nicht der Mühe werth, seine willkührlichen Versicherungen und unerwiesenen Behauptungen mit ihren Widersprüchen und Ungereimheiten zu referiren, geschweige denn zu kritisiren. Feuerbach ist in der Leidenschaftlichkeit seines Hasses gegen jede Religion und alles Methaphysische, in der seine ganze Stärke besteht, jeder frejen, philosophischen Forschung unfähig. Vom blinden Affekte getrieben, ist er das gerade Gegentheil eines Philosophen, ein zelotischer Dogmatiker, der statt Gründe zu geben, mit der Faust auf den Tisch schlägt, und stets den Sieg davon trägt, weil er stets dabei bleibt: Es ist doch so, wie und weil ich es behaupte."

Przed niedawnemi czasy pokazała się w Niemczech karikatura przedstawiająca krzyż, który usiłują zwalić: struś (Strauss) uderzający weń dziobem, chłop (Bauer) zadający mu cios toporem, i strumień płomienny (Feuerbach) podmywający go z podstawy. Wiek nasz jest bez wątpienia wiekiem wielkich fermentacij religijno-socjalnych. Jeżeli z jednéj strony serca prawowierne oburzają się przeciw występu-

jącym na świat wyobrażeniom zuchwałym i częstokroć bezbożnym, to z drugiéj strony postrzegamy zawsze to pocieszające w dziejach ludzkości, że one służą tylko ku głębszemu wyjaśnieniu i poczuciu zawsze świętéj i niczém nieprzełamanéj prawdy! Tych kilka słów uważałem za konieczne dla objaśnienia kilku wierszy tekstu.

5) W tym ustępie parę myśli i wyrażeń jest wziętych z dzieła sławnego Schuberta: „*Geschichte der Seele.*"

Spis Rzeczy.

	Str.
Wstęp	IX.
I.	1.
II.	15.
III.	109.